CZERWIEC 1932

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYSLI PAŃSTWOWEJ

TOM XXII

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

CZERWIEC 1932

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYSLI PAŃSTWOWEJ

TOM XXII

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

Drukarnia Mazowiecka. Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 649-04.

TREŚĆ:

1

KOMUNIKAT KOŁA PRZYJACIÓŁ „NASZEJ PRZYSZŁOŚCI”

W SPRAWIE KANONIZACJI KRÓLOWEJ JADWIGI.

Na dwuch kolejnych zebraniach Koła Przyjaciół „Naszej Przyszłości“ postanowiono — po zasięgnięciu opinji miarodajnych sfer duchownych i fachowych sfer historyków — podjąć i wdrożyć systematycznie sprawę kanonizacji Królowej Jadwigi, ważną niezmiernie dla państwa i społeczeństwa polskiego ze wszech względów i ze wszystkich punktów widzenia.

Zainaugurował tę sprawę artykuł p. Józefa Czarneckiego, zamieszczony w marcowym numerze tego pisma, poczem Redakcja i Koło Przyjaciół porozumiały się między sobą i z różnymi zainteresowanymi czynnikami w kwestji stopniowej, a konsekwentnej realizacji tego doniosłego zadania. Za decydujący w tej sprawie uważamy oczywiście moment kanoniczny, o którym zadecydują w swoim czasie władze duchowne. Nie mamy bynajmniej zamiaru forsować kanonizacji wielkiej Królowej li tylko z politycznego punktu widzenia. Każda kanonizacja musi w pierwszym rzędzie oprzeć się na stwierdzeniu istotnie świętobliwego życia. Względy świeckie, choćby najdonioślejsze, ustąpić muszą w tym wypadku na plan drugi.

Ale właśnie najnowsze badania historyczne wspomagają silnie nasze zamierzenia. Odpada najważniejszy szkopuł, jaki przesadni krytycy wysuwali do niedawna przeciw kanonizacji Jadwigi. Historja stwierdza mianowicie na podstawie niewątpliwych dokomentów współczesnych, że młodociana Królowa w chwili usiłowanych spotkań z ks. Wilhelmem w Krakowie miała nie lat 14, jak dawniej utrzymywano, ale zaledwie jedenaście, a więc poniżej wieku, dozwolonego wówczas wogóle do ostatecznego zawarcia resp. dopełnienia małżeństwa. Stąd odpadają wszelkie gadki

i oszczerstwa same przez się, a postać młodej Królowej występuje w tem większym blasku.

Otóż jest rzeczą może nie konieczną, ale bardzo użyteczną w takich sprawach, aby podjęcie starań o beatyfikację czy kanonizację poprzedzone było także i powszechnym świeckim kultem dla danej postaci, wyznawanym przez dane społeczeństwo. W wypadku największej polskiej Królowej, która — według źródeł współczesnych — mimo bardzo młodego wieku była istotnie nietylko małżonką króla, ale faktycznie współrządzącą królową, zamierzenia nasze bardzo są ułatwione. Wszak już niemal bezpośrednio po jej śmierci podjęto starania kanonizacyjne, później niestety przerwane. A przed wojną światową poruszył tę sprawę osobną książką i akcją ś. p. ks. biskup Bandurski. Powstał już nawet ruch ogólno-społeczny na ziemi krakowskiej w tym kierunku, który wojna przerwała.

Są więc poważne precedensa dawne i nowe. Obecnie — po wskrzeszeniu ojczyzny — nietylko nic już nie stoi tej akcji na przeszkodzie, ale przeciwnie, stanowcze jej wdrożenie jest wprost religijnym i politycznym obowiązkiem całego narodu, bez różnicy przekonań partyjnych. Powiemy więcej: jeżeli naród polski jest coś wart, jeżeli nie zatracił swej istoty i swego zmysłu państwowego, to musi przeprowadzić kanonizację Królowej Jadwigi!

I pod tym względem żadnych dyskusji, żadnych różnic politycznych i żadnych przeciwnych orjentacji być nie może, tak, jak ich nie było we Francji, daleko więcej od nas ateistycznej i zmaterjalizowanej, w sprawie kanonizacji Dziewicy Orleańskiej. A przecież Joanna D'Arc stosunkowo mniej dla Francji zrobiła, niż dla Polski Jadwiga.

Jesteśmy nadto pewni — mając w tym względzie już zdecydowane oświadczenia — że usiłowania nasze spotkają się z entuzjastycznem poparciem ze strony Węgrów i duchowieństwa węgierskiego. Przecież wielka nasza Królowa była córą węgierskiej dynastji.

Ale, poza tem wszystkiem, chodzi nam jeszcze i o coś innego.

Niemasz w całej Polsce dzisiejszej rozumnego Polaka, zwłaszcza męża stanu, któryby — bez względu na swe osobiste przekonania religijne — nie uznawał tej oczywistej prawdy i konieczności dziejowej, że Polska całą swą tradycją i racją bytu jest i musi być katolicką, albo — nie będzie Polski. To uznaje każdy, za wyjątkiem może garstki zacietrzewionych, krótkowzrocznych doktrynerów skrajnego materjalizmu, pozbawionych wszelkich na serjo kwalifikacji politycznych i z którymi przeto liczyć się wcale nie potrzeba. Jesteśmy pewni, że nawet rozumne czynniki w łonie Polskiej Partji Socjalistycznej nie będą zwalczać idei kanonizacji Jadwigi.

A rząd polski, który tę sprawę przeprowadzi, utrwali swój autorytet w społeczeństwie na dłuższą metę daleko silniej, niż poprawieniem różnych usterek ustrojowych lub chwilowym sukcesem na polu gospodarczem.

Podjęliśmy więc akcję przedwstępną o tę wielką sprawę w szczupłem na razie gronie, ale z silną wiarą, że się powiedzie i że się powieść musi. Nie mamy żadnych dalszych ambicji, ani pretensji. Niech sprawę tę ujmą wkrótce ręce kompetentniejsze i dostojniejsze. Niech wytworzy się poważny, szeroki, wszechstanowy komitet, zdolny uczynić z naszej skromnej inicjatywy sprawę prawdziwie narodową. Zaapelujemy o to niezadługo do społeczeństwa.

A co najważniejsze, to oczywisty postulat, aby choć raz od niepamiętnych czasów, choć w tem jednem dziele, skupił się istotnie cały naród polski! Możemy się na innych polach gwałtownie zwalczać i ścierać, mogą nas dzielić różne orjentacje i poglądy, ale w tej jednej sprawie powinna Stolica Apostolska, powinna także cała zagranica, ujrzeć naród polski skupiony w jedności pod sztandarem wielkiej postaci i wielkiej historycznej idei.

Redakcja

imieniem Koła Przyjaciół „Naszej Przyszłości".

Z DZIEJÓW PACYFIZMU.

Potrzeba pokoju od zarania dziejów ludzkości stanowi przedmiot największej jej tęsknoty. Dookoła pokoju i wojny obracają się, niby dokoła osi, niemal całe jej dzieje.

To też próby zagwarantowania powszechnego pokoju spotykamy już w dawnych czasach. Było ich wiele. Możemy je śledzić w chronologicznym porządku. Liga Narodów jest jakby ich ukoronowaniem, jako twór, wśród tych wszystkich prób najdoskonalszy, a zarazem jakże niedoskonały!

Napisano już wiele o pacyfiźmie. Brak wszakże był zawsze systematycznego ujęcia tych wszystkich koncepcji pacyfistycznych. Próbę taką podjął współczesny nam znakomity historyk i teoretyk pacyfizmu, Holender ter Meulen. Próbą taką jest również nowa praca polska d-ra Jerzego Pogonowskiego *). Ujęcie tematu jest w niej jasne i gruntowne — jak zresztą na pracę doktorską przystało, która ponadto przeszła też przez filtr opinji miarodajnych fachowców — aczkolwiek nie pozbawione pewnego subjektywizmu w sensie dodatnim, jeśli chodzi o znaczenie i wartość koncepcji związku państw króla czeskiego Jerzego z Podiebradu. Wynika to niewątpliwie z sympatji i podziwu dla króla-szlachcica, którego wielki niewątpliwie umysł wyprzedził rozwój dziejów o pół tysiąca lat.

Tem niemniej będziemy w dalszym ciągu niniejszych uwag obficie czerpać z tego polskiego źródła, zawsze jednakże z tą małą korektywą, o której konieczności wspomnieliśmy powyżej.

Międzynarodowe koncepcje pacyfistyczne należy po-

---

*) P. t. Projekt związku władców króla Jerzego z Podiebradu.

dzielić na dwie wielkie grupy. Inicjatywa pacyfizmu międzynarodowego uwzględnia mianowicie różnicę między ideą państwa światowego, a ideą międzynarodowego związku państw. Ideę państwa światowego żywił np. początkowo Napoleon Bonaparte, idąc w ślady bohaterów starożytności, Aleksandra Wielkiego i Cezara. Dopiero później skłonił się do koncepcji imperjum francuskiego nad Europą. Niegdyś pragnął on federacji hierarchicznej poszczególnych państw, jedności rządów, oraz rozbrojenia.

Koncepcje międzynarodowe związku państw przewyższają liczebnie znacznie projekty światowego państwa. Jest ich długi szereg: np. Sully'ego, „Grand Dessein" Henryka IV z 1662 r., St. Pierre'a z 1713 r., Loena z 1868 r., Goudara z 1797 r., wreszcie postulaty Rousseau'a i Gaillarda, Lilienfelda, Günthera, Benthama, Palier'a de St. Germain z r. 1788 (przypominający bardzo pakt Ligi Narodów), Schlettweina i wreszcie słynny projekt Kanta z 1795 r.

Były też wcześniejsze jeszcze projekty w ciągu długiej historji ewolucji dziejowej idei pokoju i rozjemstwa, jak np. projekt Piotra Dubois w XIII w., o którym jeszcze będziemy mieli okazję mówić, dalej słynny projekt króla Jerzego z Podiebradu z połowy XV w., projekt kongregacji kardynałów z 1517 r., dotyczący „Fraternitatis sanctae cruciatae" i federacji europejskiej, wreszcie projekty Franciszka de la Noueka Cruce'a i inne.

Nie będziemy się tutaj dłużej zatrzymywać przy poszczególnych projektach, albowiem przekraczałoby to ramy, zakreślone niniejszej rozprawie. Natomiast przedstawia dla nas istotną wartość suma powyższych projektów, która pozwala nam śledzić z dokładnością rozwój idei pacyfizmu na wielkiej przestrzeni wieków. Idea ta czyni mianowicie stopniowe postępy w kierunku kosmopolityzmu. Gdy bowiem np. projekt ks. Sully'ego obejmuje tylko państwa chrześcijańskie, to S. Pierre zaleca już sojusz z panującymi mahometańskimi, a projekt Kanta posiada charakter ogólnoludzki. Równolegle z ewolucją idei pacyfistycznej

idzie też rozszerzanie obszaru organizacji międzynarodowej. I tak, gdy pierwszy z wyliczonych ostatnio projektów zmierza do zrzeszenia państw europejskich, drugi wychodzi już poza Europę, a trzeci obejmuje całą kulę ziemską.

Obecnie przyjrzyjmy się projektowi króla Jerzego z Podiebradu, posiadającemu w dziejach pacyfizmu niemałe znaczenie, jako prototypowi Ligi Narodów w pewnej mierze. Znaczeniu projektu tego dał też wyraz w całej pełni Dr. Pogonowski w cytowanej pracy. Pragniemy zarazem dorzucić garść uwag, które się z konieczności nasunąć muszą przy głębszem wniknięciu w to zagadnienie.

Tło historyczne, na jakiem widzimy sylwetkę projektu związku władców, czyni zupełnie zrozumiałem zrodzanie się takiego projektu w ówczesnych Czechach. Natomiast niewyjaśnioną jest sprawa, kto był twórcą tego projektu: król Jerzy, czy jego słynny doradca Marini? Historyczne ziemie czeskie, czyli Czechy i Morawy, były w epoce, o której mowa, terenem wielkiego wrzenia. Wojny husyckie i okres pohusycki należą do najgorszych czasów państwa czeskiego. Panował ogólny zamęt. Katolicy i husyci walczyli z sobą, a nadto różne sekty zwalczały się nawzajem. Wszystko to nie wróżyło nic dobrego. W tym czasie znalazł się na tronie czeskim Jerzy z Podiebradu, syn skromnego utrakwisty, jednego z dowódców z pod Lipan (1434 r.). „Karjerę" królewską zrobił dzięki swym wielkim zaletom jako wojownik i administrator, wspinając się stopniowo na coraz wyższe szczeble, od naczelnika okręgu (wojewody), na głównego zarządcę ziem korony czeskiej.

Bystry umysł młodego króla musiał niewątpliwie objąć dokładnie całokształt sytuacji, w jakiej się znajdowało państwo czeskie. Na dworze jego pojawia się Antoni Marini z Grénoble. Interesująca to, a zarazem dziwna postać. „Niby inżynier, niby przemysłowiec, niby prawnik" — określa go Dr. Pogonowski. Miał on szereg tytułów, „eques", „magister", „doctor" i t. p. Przybywszy na dwór

praski, szybko nauczył się po czesku, poznał stosunki czeskie i w krótkim czasie stał się doradcą króla. Jako wysłannik francuskiej dyplomacji, jakim niezawodnie był, starał się on prawdopodobnie przekonać króla Jerzego o konieczności traktatu francusko-czeskiego. Rozmowy na ten temat, a ponadto marzycielstwo króla, który chciał widzieć chrześcijańskie państwa, złączone trwałym związkiem, zdają się wskazywać na genezę słynnego projektu związku władców.

W nauce panuje wielka rozbieżność, kto był właściwie inicjatorem tego projektu: Jerzy czy Marini. Włodzimierz Mazuranic reprezentuje pogląd, jak wynika z jego rozprawy o „Lidze Narodów", że autorem projektu był król Jerzy. Natomiast czeski uczony, prof. Kapras, dowodzi w swej pracy p. t. „Pokojowy związek Jerzego z Podiebradu", że plan wielkiego związku pokojowego nie jest dziełem króla Jerzego, lecz jego doradcy, Francuza Mariniego, „genjalnego awanturnika", jak go nazywa. Dr. Pogonowski przyznaje, iż jest bezsprzecznie pewna racja w obu ujęciach. Marini bowiem, przy swem wszechstronnem wykształceniu i zdolnościach, musiał dziełu temu dać conajmniej formę i precyzję, natomiast o inicjatywie z całą stanowczością wypowiedzieć się niepodobna. Pacyfizm i zrczność króla Jerzego nie ulegają najmniejszej wątpliwości, podczas gdy przybycie Mariniego na jego dwór w misji dyplomatycznej jest tylko hipotezą. Nie da się więc zaprzeczyć autorstwa projektu Jerzemu — stwierdza Dr. Pogonowski.

Ze swej strony — zważywszy pro i contra — możemy się przyłączyć do poglądów Wł. Mazuranica i D-ra Pogonowskiego, przyczem opieramy nasze zdanie na następujących argumentach. Jest faktem, że król Jerzy posiadał wielkie i bardzo śmiałe aspiracje. Pewny swej wiedzy wojskowej i doświadczenia, marzył o wyprawie europejskiej na Turków pod swojem przewodnictwem. Nawet korona władców Bizancjum nie wydawała mu się marzeniem

nieziszczalnem. Szeroko zakrojony projekt związku władców europejskich mógł się więc śmiało zrodzić w umyśle Jerzego. Chociażby nawet Marini był istotnie narzędziem dyplomacji francuskiej, inicjatywa króla Jerzego na terenie międzynarodowym była znacznie większa. Niewątpliwie musiał się Marini przyczynić swoją erudycją do skonkretyzowania i ujęcia w formę słynnego projektu, lecz o wiele więcej przemawia za autorstwem Jerzego.

Kulisy dyplomatyczne tego przedsięwzięcia były następujące. Marini zamierzał zrealizować z jednej strony pakty regjonalne, a z drugiej wielką umowę zbiorową. Do pierwszych należało porozumienie z Polską i Węgrami. Drugie zadanie polegało na zjednoczeniu i zorganizowaniu chrześcijańskiej Europy. Pierwsze zadanie wysuwało się siłą faktu na przedni plan. Chcąc bowiem zrealizować plan zaczepno-odpornego przymierza europejskich władców, musieli król Jerzy i Marini zająć się ze względów metodycznych paktami regjonalnymi. Marini odbywa przeto z polecenia króla swoje podróże dyplomatyczne. Jako do pierwszego, zwraca się Jerzy do polskiego króla Kazimierza Jagiellończyka, z którym zostaje zawarty traktat rozjemczy.

Po pakcie czesko-polskim udał się Marini w drogę do Wenecji. Aczkolwiek nie ustosunkowano się tam do niego nieprzychylnie, to jednak nie brano pod uwagę możności zawarcia paktu bez porozumienia się Mariniego z Papieżem. Na dworze burgundzkim, liczącym się bardzo z Rzymem, nie chciano słyszeć o związku, do którego nie należałoby także Państwo Kościelne. Węgry również nie były skłonne przystąpić do podobnego paktu, którego członkiem nie byłby i papież.

Zanim jeszcze powrócimy do dokładniejszego przyjrzenia się stosunkowi projektu króla Jerzego do papieża, nakreślimy w krótkości, jakie było założenie i jaka miała być wewnętrzna struktura związku, zaprojektowanego przez Jerzego.

Niezwykły wzrost potęgi tureckiej, która ze 117 daw-

nych chrześcjańskich państw i państewek pochłonęła olbrzymią większość, sprawiając, że tylko 16 z pośród nich zachowało pełną niezależność, nakazywał jedność chrześcijańską celem skutecznej obrony wiary przeciw Turkom. Król Jerzy widział najlepszą tego rękojmię w związku władców chrześcijańskich, czyli przedewszystkiem Francji, Niemiec, Włoch i ewent. Hiszpanji. Pakt ten miał zapobiegać wojnom pomiędzy niemi. Członkowie związku mieli wyzwolić ujarzmionych przez Turków chrześcijan. Ani papież, ani cesarz rzymski nie mieli w Związku otrzymać uprzywilejowanego stanowiska. Jako „praesidens pater“ występuje król Francji. Papież w koncepcji Jerzego, w swej pełni władzy duchownej, nie może być zasadniczo członkiem Związku, oraz powinien się wystrzegać interwencji wśród jego świeckich członków. Może być tylko pośrednikiem w sprawach między panującymi, nie będącymi członkami Związku. Wojnę wypowiada i zakańcza Związek, nie jego członkowie. Zanim Związek wypowie wojnę nie-członkowi, musi wyczerpać wszystkie środki pokojowego załatwienia sporu. Jeśli chodzi o stosunek Związku do nie-członków, to przewidziana była zasada interwencji, czyli Związek nietylko miał bronić swych członków, lecz nawet nie dopuszczać do wojny pomiędzy nie-członkami.

Jako główny organ Związku przewidziane było Zgromadzenie, mające się zbierać co 5 lat, każdorazowo w innem państwie, wchodzącem w skład Związku (pierwszy raz w Bazylei). Państwa głosują wedle grup narodowych, czyli francuskiej, niemieckiej, włoskiej i ewentualnie hiszpańskiej. Każda grupa ma 1 głos. Wszyscy panujący są równi. Rozstrzyga większość głosów, a w razie równości — większy autorytet głosujących państw. Niekiedy wszakże zastrzeżona jest jednomyślność. Związek ma własne godło, pieczęć, kasę, archiwum, liczny sztab urzędniczy i t. d.

Projekt króla Jerzego nie powiódł się, jak wiadomo. Miał on bowiem jedną wielką, zasadniczą wadę. Król Je-

rzy, jako utrakwista, więc odszczepieniec, nie chciał i nie mógł dopuścić papieża do Związku. Jeśli się zważy olbrzymie znaczenie papiestwa i Państwa Kościelnego w średniowieczu, narzuca się sam przez się logiczny wniosek, że projekt podobny, który chciał Rzym odsunąć od Związku państw chrześcijańskich, musiał być zgóry skzany na niepowodzenie, albo conajmniej na niezwykłe trudności. Rzecz zrozumiała, że papież przeciwstawił się planowi Jerzego. Taksamo władcy, liczący się z autorytetem papieża, nie godzili się na przystąpienie do tego Związku. Papież nietylko ustosunkował się negatywnie do poczynań króla czeskiego, lecz więcej jeszcze, postanowił stworzyć i stanąć sam na czele Związku przeciwtureckiego, do którego weszłyby przedewszystkiem Węgry, Wenecja i Burgundja.

To też skończył się projekt Jerzego niepowodzeniem i przyniósł Czechom tylko pakt z Francją, w którym zawarte i przechowane są zasady projektowanego Związku władców. A więc tylko król francuski, Ludwik XI, przeciwnik papieża, pośpieszył — jako jedyny władca — przystąpić do Związku, zaprojektowanego przez Jerzego.

Tej słabej strony projektu Jerzego nie uwypuklił, naszem zdaniem, autor pracy „Projekt Związku władców króla Jerzego z Podiebradu". A zdaje się, że jest ona przecież bardzo istotną dla całej sprawy.

Dr. Pogonowski nazywa na jednem miejscu w swej pracy naiwnym projekt Francuza Dubois, o którym już wspomnieliśmy, pisząc: „Poprzednik jego (t. j. króla Jerzego z Podiebradu) jedyny, naiwny Dubois w „De recuperatione terrae sanctae" wysnuł tylko wcale nierealną fantazję. Miał on gorące pragnienie pokoju, ożywione przytem głównie patrjotyzmem francuskim. W stosunku do papieża żywił daleko posuniętą lojalność, traktując go w swym nierealnym projekcie jako instytucję apelacyjną".

Otóż powyższy projekt Dubois, starszy o blisko 200 lat od projektu króla Jerzego, przypadający na okres szczytu potęgi papiestwa, propagujący konkretny cel: odzyskanie

ziemi św., a więc przedsięwzięcie bardzo realne, dla którego urzeczywistnienia odbył się szereg wypraw krzyżowych, nie przedstawia się może tak naiwnie. Abstrahując zupełnie od jego szans powodzenia, zaznaczyć jednak pragniemy, że właśnie fakt oddawania przez projektodawcę przewodnictwa papieżowi czynił projekt mniej fantastycznym, aniżeli projektowany przez króla Jerzego, pozbawiający papieża zupełnie udziału w Związku, który przecież miał złączyć chrześcijańskich władców; a papież rzymski w XV w. był chyba takim łącznikiem w całej pełni. Tak bowiem, jak w obecnej dobie papież może pozostawać poza codzienną polityką międzynarodową, nie biorąc np. udziału w Lidze Narodów i t. p., tak w owych dawnych czasach, jako wielki władca świecki, nie mógł i nie powinien był pozostawać poza światową polityką. Zmienione tło dziejów, fakt skonsolidowania i ostatecznego utrwalenia się Kościoła w świecie sprawia, iz najwyższy jego Przedstawiciel może kierować Kościołem światowym bez posiadania rozległego państwa. Natomiast nic się nie zmieniło, jeśli chodzi o pozycję papieża, jako najwyższego autorytetu moralnego. Papież był i jest ową wysoką moralną „instancją apelacyjną". A nawet nietylko moralną, albowiem mamy w historji przykłady, że już po utracie świeckiego władztwa papież rozstrzyga spory polityczne, jako najwyższy arbiter. Najnowszy wielki pakt, układy laterańskie z 1929 r., podkreślają wyraźnie tę wyjątkową moralną pozycję papieża w świecie, dzięki której może on zawsze w wypadkach zachodzącej potrzeby zabierać głos w sprawach polityki światowej.

Powracając do projektu króla Jerzego z Podiebradu, pragniemy z naciskiem podkreślić, iż fakt wykluczenia papieża od udziału w Związku władców chrześcijańskich był jego największą wadą, która też przesądzała ostateczny los tego projektu.

Znaczenie projektu związku władców króla Jerzego dla nas, w obecnej dobie, leży w tem, iż wśród wszystkich

dawnych projektów Ligi Narodów zasługuje on na szczególne wyróżnienie, albowiem prześciga je pod wieloma względami.

Porównując projekt związku króla Jerzego z paktem Ligi Narodów, widzimy, iż posiada on z nim punkty wspólne i bardzo wiele stycznych. Zasadnicze rysy samej idei przewodniej są naogół te same. W pewnych punktach zachodzi nawet całkowite podobieństwo.

Już sam wstęp projektu Związku władców przypomina wstęp do paktu Ligi Narodów (oczywiście nie z tego, że zaczyna się od wezwania do Boga, bo twórcy tego paktu, podobnie zresztą, jak różnych innych „postępowych" traktatów nowoczesnych, uważają za zbyteczną rzecz wzywanie pomocy Bożej przy takich przedsięwzięciach). Trwały pokój i sprawiedliwość są w obu wstępach, jako podstawy, głównie podkreślone. Projekt Jerzego i pakt Ligi Narodów posiadają trzy główne wspólne myśli przewodnie: organizacja międzynarodowa, rozjemstwo, usunięcie niebezpieczeństwa wojny. Nie zamierzamy zagłębiać się na tem miejscu w szczegóły analogji obu tekstów, których jest wiele. Rzecz oczywista, że koncepcja i stylizacja jurydyczna paktu Ligi Narodów przewyższa znacznie projekt Związku króla czeskiego. „Punkty wspólne i podobieństwa nie ulegają wątpliwości — mówi Dr. Pogonowski w cytowanej swej pracy — a wzięte ze stanowiska swej istoty, przynoszą zaszczyt projektowi, wspólnemu dziełu króla Jerzego i Mariniego. Postulaty ich i zarys organizacji dały zwartą całość i godną porzedniczkę późniejszych ewolucji".

Na zakończenie nadmienimy jeszcze o projektach pacyfistycznych. Pacyfizm XIX w. ma charakter bądź to religijno-etyczny, bądź też wojujący, oparty na zasadzie przymusu. Projektów było szereg. Np. Szwajcarzy Konrad Nägli i Stapfer projektowali związek narodów. Inne koncepcje przewidywały szereg związków państw, np. Isoard wylicza cztery takie związki. Ważnym jest projekt Gordona, w którym dopatrują się prototypu paktu Ligi Naro-

dów, nazywając Gordona prekursorem Wilsona. Jest rzeczą znamienną, na co też zwraca uwagę Dr. Pogonowski w swej rozprawie, że oparcie organizacji międzynarodowej na międzynarodowej sile zbrojnej zaproponowane ostatnio na konferencji rozbrojeniowej przez francuskiego premiera Tardieu, przewidziane było również w wymienionym wyżej projekcie Gordona. Ten projektodawca daje też kolegjum władców moc konstytucyjną i ustawodawczą.

Następnie były inne jeszcze projekty, przyjmujące różne kryterja, jak np. Traitteur-Luzberga, który wiąże organizację międzynarodową z podziałem politycznym wedle sieci wód. Przewiduje on trybunał międzynarodowy, którego wyroki wykonywałyby trzy najbliższe państwa. Krause znowu przewiduje połączenie narodów w trzech grupach, czyli europejsko-azjatycko-afrykańskiej, amerykańskiej i australijskiej, lecz ostatecznym celem tych trzech grup byłby związek wszystkich. Dalszą ewolucją idei pacyfistycznej są konferencje i konwencje haskie, a wreszcie ostatnią wielką próbą, a zarazem realizacją organizacji międzynarodowej, jest pakt Ligi Narodów, zawarty po wojnie światowej, wielkie dzieło prezydenta Wilsona. Dalszą jego ewolucją był genewski akt rozjemstwa, uchwalony na piątem Zgromadzeniu Ligi Narodów w 1924 r. Wspomnieć tu również należy o pakcie reńskim, zgłoszonym do Ligi Narodów w 1925 r., a będącym podstawą układów lokarneńskich. Pakt ten wyklucza zbrojne rozstrzyganie konfliktów, z wyjątkiem naruszenia przez Niemcy zdemobilizowanych stref nadreńskich.

Tak widzimy, że ewolucja idei pokoju posiada długą i mozolną drogę za sobą, a niewiadomo jeszcze, jak długą przed sobą. Liga Narodów, która teoretycznie wyobraża doskonałą organizację międzynarodową, w praktyce nie jest w stanie spełnić zadań, jakie jej zakreślili i z konieczności zakreślić musieli jej twórcy. Nie posiada ona egzekutywy we właściwem tego sło-

wa znaczeniu, a tem samem tego autorytetu, jaki posiadać powinna. I tu dotykamy wielkiej bolączki, właściwej wielu, wielu poczynaniom pacyfistycznym współczesnej doby: wiele koncepcji w tej dziedzinie okazuje się nierealnemi lub przedwczesnemi, gdyż nie odpowiada rzeczywistym interesom i aspiracjm poszczególnych członków lub państw, wchodzących w rachubę jako członkowie zamierzonej organizacji. Znacznie łatwiej jest osiągnąć uzgodnienie interesów pomiędzy już istniejącemi grupami z uzgodnionemi tendencjami politycznemi i ekonomicznemi, aniżeli zespolić ze sobą w jednym wielkim organiźmie wielką liczbą pojedyńczych kontrahentów o różnych, często bardzo rozbieżnych tendencjach. Należy więc pacyfizm budować na właściwych, twardych podstawach, opierając go o realne, solidne bloki państw, złączonych istotnymi politycznymi i ekonomicznymi interesami.

Emil Rewerowski.

ZGORSZENIE.

Wiem, że niemasz nigdzie na świecie ideału. Niemasz go i w Polsce. Chcąc cośkolwiek zrobić, nie trzeba przesadzać, należy liczyć się z rzeczywistością i z praktyczną możliwością. Nie trzeba chcieć za dobrze, bo wtedy swego się nie przeprowadzi i zostanie się Don Kiszotem.

Wiem o tem doskonale i dlatego zamykam raz lewe, drugi raz prawe oko na różne słabostki, namiętności i nieprawości moich szanownych p. t. rodaków ze wszystkich trzech dzielnic państwa. Byle tylko ogólna poprawa wewnętrznej tężyzny tychże rodaków i materjalna poprawa państwa stopniowo się akcentowały — to już dobrze, więcej nie wymagam.

Ale są wśród tych nieprawości takie, na które wstrząsnąć się musi najbardziej nawet flegmatyczne sumienie. Wszak i taki wzór cierpliwości, jakim był Zbawiciel, chwycił raz za bicz wobec jawnego, bezczelnego, publicznego zgorszenia i — nie wdając się w żadne napomnienia, ani dyskusje — wygnał przekupniów ze świątyni. Wygnał tych, których nadmierna chciwość zysku nie zatrzymała się nawet przed progiem Przybytku Pańskiego.

A ja przecież nie mogę mieć pretensji, aby być lepszym od Zbawiciela!

Otóż, wśród wielu nieprawości i zgorszenia, w jakie obfituje życie w wolnej, demokratycznej, sześcioprzymiotnikowej naszej ojczyźnie, wysunęło się w ostatnim czasie na czoło jedno wprost cyniczne zgorszenie publiczne, wołające o pomstę do nieba i do wszystkich uczciwych ludzi w państwie. Zgorszenie, zatruwające zwłaszcza ducha

młodzieży, daleko gorsze w skutkach swych na polskim gruncie od jawnej propagandy bolszewickiej. Zgorszenie tem cyniczniejsze, że spekulujące jedynie i wyłącznie tylko na zysk pieniężny, za wszelką cenę, a przedewszystkiem za cenę generalnej korupcji i wypaczenia młodocianych umysłów, sumień i wyobraźni.

Mam przed sobą tygodniowe wydawnictwo p. t. „Tajny Detektyw", wychodzące podobno w 200.000 egzemplarzy, a wydawane w Krakowie — w moim, tak poważnym i solidnym Krakowie, który przez pół wieku w czasach rozbiorowych promieniował na całą Polskę nauką i kulturą.

Nie chcę wsiadać na zbyt wysokiego Pegaza moralności. Pisemka sensacyjne i detektywistyczne wychodziły przed wojną i po wojnie, czytywane skwapliwie przez kucharki, uliczników, a pokryjomu często także i przez młodzież szkolną. Skarżono się nieraz na ich wpływ. Czytaliśmy niekiedy w sprawozdaniach sądowych, że jakiś przestępca przytaczał, jako okoliczności, łagodzące motywy swego czynu, rozczytywanie się w takiej sensacyjnej lekturze. Ale były to pisemka tak liche i tak głupie, drukowane niegramatycznym stylem i na lichym papierze, komponowane przez pokątnych gryzipiórków i zawierały tak nieprawdopodobne fantazje, że piętnowały się przez to same na kuchenną literaturę i dlatego stosunkowo niewiele mogły szerzyć zgorszenia.

Z „Tajnym Detektywem" rzecz ma się zgoła inaczej. Dobry papier, świetne fotografje z natury, prawdziwe wydarzenia kryminalne z całego świata, wprawnem piórem opisywane i umiejętna kompozycja całości, nie pozbawiona nawet pewnego rodzaju „wyższego poziomu".

Biorę do ręki pierwszy lepszy numer tego wydawnictwa. Na czele wielka tytułowa fotografja, przedstawiająca bratobójcę, prowadzonego na sąd doraźny w otoczeniu policjantów z nasadzonymi na karabiny bagnetami: niczem pochód jakiegoś bohatera narodowego, maszerującego tryumfalnie ze świtą, którego postać ma młodzieży naszej

utkwić głęboko w pamięci! A potem, wśród autentycznych zdjęć fotograficznych, bardzo pouczających, takie nagłówki artykułów: Tragiczna kronika Pomorza — Morderstwo w Ossowej Górze — Siekiera w rękach fryzjera — Zamordowanie proboszcza w Sadkach — Stryczek czy kaźń? — Guzik zdradza bandytę — Bojowcy zbrodni — 51 wyroków śmierci — Sąd doraźny w Łodzi — „Biała ręka" w Gdyni — a wreszcie, jako kącik „dla rozrywki umysłowej", zadanie z zakresu sztuki detektywistycznej, z dobrym rysunkiem i z wyznaczeniem nagrody za najlepsze rozwiązanie.

I to ostatnie jest właśnie szczytem wynalazku wydawnictwa. Jak różne pisma zamieszczają przy końcu numeru szarady i rebusy dla rozrywki umysłowej, tak „Tajny Detektyw" zamieszcza rysunek hotelu z przyległościami i parkiem, obstawionego przez policję, z którego właśnie wymknął się jakiś przestępca, pomimo, że wszystkie wyjścia są przez policję strzeżone. Otóż to „zadanie detektywiczne Nr. 31" polega na tem, aby wypracować najlepsze rozwiązanie problemu, jakim sposobem i którędy mógł się ów złodziej hotelowy wymknąć, mimo wszelkich trudności.

Proszę teraz uprzejmie szanownego czytelnika wyobrazić sobie naszego gimnazjastę, dyskutującego z zaaferowaniem w gronie kolegów lub wypracowującego pilnie pod lampą domową ów zawikłany, a tak pociągający problem ucieczki hotelowego złodzieja! A rzecz to nie do pogardzenia, bo przecież redakcja pisma zapowiada na 1-go lipca nagrody za trzy najlepsze rozwiązania w postaci „sensacyjnych powieści znanych autorów".

Nie przypominam sobie, aby ktoś w przedwojennej czy powojennej Polsce wpadł był na pomysł podobnie cyniczny i potworny: planowej, systematycznej deprawacji umysłów młodocianych (bo oczywiście przeważnie młodzież to wydawnictwo czyta) wszelkiemi informacjami o zbrodniach z całego świata, o sposobach planowania i wykony-

wania tych zbrodni i o najlepszych rozwiązaniach strategicznych wymykania się z rąk policji, jak o tem świadczy wspomniane „zadanie detektywiczne“, wieńczone nagrodą.

I to dzieje się jawnie, otwarcie, masowo, z wielkim sumptem i reklamą, a wychodzi z „Pałacu Prasy“ w Krakowie i figuruje nieraz — jak to stwierdziłem — za szybami wystawowemi księgarń pierwszorzędnych! A rząd i publiczność wcale dotąd na to nie reaguje. Może gdzieś ktoś w kącie salonu niekiedy po cichu przeciw temu zapiorunuje, ale nikt nie ma odwagi cywilnej zareagować na serjo przeciw deprawującym, wołającym o pomstę pomysłom wydawców „Tajnego Detektywa“.

Otóż ja, Stańczyk, dzierżący w ręku kaduceusza Polski, muszę zebrać się — w braku innych — na tę odwagę cywilną i wystosować zdecydowany apel przedewszystkiem do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, aby to potworne wydawnictwo bez zwłoki zlikwidowało, bez skrupułu i bez żadnych formalności. Całe uczciwie myślące społeczeństwo tylko przyklaśnie tak niezbędnemu i zdrowemu odruchowi władzy na jawne, głęboko sięgające publiczne zgorszenie.

Ale pomysł wydawnictwa „Tajnego Detektywa“ jest wyrazem czegoś więcej, niż tylko bezskrupulatnej chęci zysku pewnego przedsiębiorstwa. Jest zarazem bezsprzecznym dowodem obecnego upadku moralnego społeczeństwa polskiego i jego t. zw. opinji publicznej. Idę dalej: jest zarazem wymownym dowodem, że zbyt jednostronne popieranie wychowania fizycznego, przy pewnem zneglizowaniu wychowania moralnego, nie może prowadzić do tego celu, który wytknął sobie we wszystkich państwach, a więc i w Polsce, nowoczesny prąd wzmożenia kultury fizycznej.

Bo do czego dąży w ostatecznym, praktycznym rezultacie wychowanie fizyczne, w szerokiem tego słowa znaczeniu? Do wykształcenia dzielnego obywatela-żołnierza. Czy osiągnie ten cel na drodze zbyt jednostronnie fizycz-

nej, nawet z dodatkiem ćwiczenia w karności i w t. zw. poczuciu honoru?

Bezwarunkowo nie!

Bo liczyć się trzeba z tem, że wszelka karność i honor i uczucia patrjotyczne, jeżeli mają być głębokie i wytrzymałe na wszelką próbę, muszę koniecznie opierać się na pewnem głębszem poczuciu moralności. A z drugiej strony najtęższy nawet sportowiec czy bokser polski, wymachując w czasie wojny karabinem, spotka napewno wśród Niemców lub Moskali jeszcze tęższych dryblasów, z jeszcze większemi pięściami i może większem jeszcze wysportowaniem, którzy mu kolbą karabinu z jeszcze większym rozmachem czaszkę rozwalą. Nie indywidualną siłą, a nawet zręcznością fizyczną, wygrywa się dzisiaj wojny, ale inteligencją, włożoną w technikę oraz w ideę, o którą się walczy. A każda idea, nawet najwznioślejsza, bez mocnego podkładu moralnego, w decydujących momentach zawodzi. Wszak nie większą siłą pięści zwyciężył swego czasu Japończyk Moskala, ale wyższą inteligencją, wyższą kulturą umysłową i duchem poświęcenia, tryskającym niewątpliwie z głębszego moralnego wyrobienia!

Stąd nauka, że nie wystarczy kształcić młodzież w rozwoju fizycznym i chronić ją od chorób, jeżeli równocześnie nie chroni się jej od różnorodnej trucizny moralnej, której niestety dostarcza tak obficie wiek XX.

Pozwalam więc sobie rzucić pytanie: Czy polski młodzieniec, wykształcony na harcerstwie lub innem przysposobieniu wojskowem, zdolny będzie zwyciężyć Niemca lub Moskala, zwłaszcza liczebnie silniejszego, jeżeli przejdzie wprawdzie z odznaczeniem wszelkie kursa wychowania sportowego, ale równocześnie wyobraźnia jego i moralność kształcić się będą na takich „Tajnych Detektywach“ i podobnej literaturze, która zbrodniarzy wyolbrzymia mu na bohaterów i potentantów ducha? Czy będzie temu polskiemu młodzieńcowi możliwem zwycięstwo, już nietylko nad wrogiem zewnętrznym, ale i nad wewnętrzno-państwowy-

mi prądami destrukcyjnymi, jakie nam doba obecna ze wschodu i zachodu przynosi, jeżeli jego podstawy moralne i ideowe podcinać będzie — na zasadzie nieograniczonej wolności prasowej — stale, systematycznie literatura pornograficzna, albo taka, jakiej wyrazem jest „Tajny Detektyw"?

Dixi— a jeżeli apel mój pozostanie bez rezultatu, to powtórzę go drugi raz i trzeci... aż do skutku!

Ale jest jeszcze inna instancja, która tą sprawą także energicznie zająć się powinna. Istnieje u nas podobno jakiś Syndykat Dziennikarzy, przedstawiciel „siódmego mocarstwa", z którem podobno liczyć się muszą rządy i społeczeństwa i które urządza wspaniałe zjazdy międzynarodowe przy współudziale naczelników państw, monarchów i różnych dygnitarzy, gdzie podobno ważą się losy opinji publicznej świata, niby w drugiej Genewie.

Tak słyszę, ale zdecydowanego, a zwłaszcza uszlachetniającego wpływu na publicystykę ze strony tej naczelnej korporacji potentatów pióra wcale nie widzę. Bronią tylko stereotypowo „wolności prasy", co w praktyce wychodzi częstokroć na wolność rozwydrzania się publicystyki poza wszelkie granice moralności, przyzwoitości, prawdy, a nawet żywotnego interesu państwa.

Niechże więc teraz ów potężny, wpływowy, z namaszczeniem zawsze występujący Syndykat polskich dziennikarzy zareaguje w jakiś odpowiedni swej godności sposób na tak czelne, planowe, cyniczne deprawowanie młodzieży i mas mniej wykształconych przez pewien organ prasowy i to technicznie wcale nie podrzędny! Niech przełamie w tym wypadku swą zdawkową solidarność zawodową i wykaże, że „doniosła rola prasy" nie jest czczym frazesem i że nie wolno wydawnictwom prasowym zgarniać zyski za wszelką, nawet niemoralną cenę!

Inaczej nie będziecie w stanie, Panowie z prasy, przekonać społeczeństwa o prawdziwej doniosłości roli waszego zawodu.

„Stańczyk".

CZY GROZI WOJNA?

Oto pytanie, w tym momencie może najaktualniejsze ze wszystkich, jeżeli nie na arenie polityki oficjalnej, to w każdym razie na terenie polityki — salonowej. Przejmują się niem w codziennych rozmowach mężczyźni, a jeszcze bardziej kobiety, przepowiadając coraz głośniej, coraz kategoryczniej „nieuchronną wojnę z Niemcami", skoro tylko Japonja uderzy na Sowiety. I przekonanie o tem idzie z ust do ust, z rozpędem famy, ponad wszelkiemi, a raczej po pod wszelkiemi inemi aktualjami dnia, usuwając niekiedy na drugi plan nawet tak dotkliwą sprawę, jaką jest kryzys gospodarczy i walka o chleb codzienny.

A wieści te o wojnie — rzecz szczególna — powtarzane są bynajmniej nie z trwogą przed grożącym rzekomo kataklizmem, ale przeciwnie, z agresywnem przekonaniem, że „teraz jest najlepszy moment uderzyć na Niemca i raz z nim skończyć"!

Napróżno przypominam okazyjnie w takich wypadkach, dla uspokojenia tego wojowniczego ducha, pewne mniej miłe szczegóły z niedawnej wojny światowej, które dobrze jeszcze stoją w pamięci, jak np. kartki chlebowe, wystawanie w ogonkach przed sklepami na mrozie, melasę i sacharynę zamiast cukru, nie mówiąc już o innych okropnościach. Spotykam się na to ze zdecydowanem machnięciem ręką i słyszę zadzierżystą odpowiedź, że to nic nie szkodzi, że teraz moment ataku na Niemca: niech kawalerja wsiada na koń i śmiałym raidem w głąb Niemiec zajmie jak największą połać ich kraju, aby sparaliżować ich przemysł i mobilizację ich oddziałów przysposobienia wojskowego!

Czy zdrowym i korzystnym dla kraju jest taki nastrój

prywatnych sfer obywatelskich, męskich i żeńskich? Bezwarunkowo tak, bo w nim wyraża się na wszelki wypadek t. zw. wola zwycięstwa, która jest zawsze i wszędzie podstawowym warunkiem wygrania wojny, zwłaszcza wojny obronnej, przez nieprzyjaciela narzuconej. Jest objawem tężyzny narodu, którego nie zastrasza widocznie legenda potwornych wynalazków bojowych niemieckiego profesora, ale oczywiście pod warunkiem, że miarodajne i odpowiedzialne czynniki trzymają w karbach ten powszechny zapał bojowy i wykazują na zewnątrz silne nerwy i lodowatą, niewzruszenie pokojową taktykę dyplomatyczną, współpracując wszędzie na serjo w każdem dziele pokoju.

Z tem oczywistem zastrzeżeniem, którego jednak naszym sferom miarodajnym nie potrzeba powtarzać, bo konsekwetnie pokojowa polityka i tendencja wszystkich rządów i sejmów wskrzeszonej Polski żadnej nie ulega wątpliwości, uważam obecne moralne przygotowanie i bojowe nastawienie narodu na „ostateczną rozprawę" z odwiecznym naszym wrogiem za symptom nawskroś zdrowy i potencjalnie państwowo-twórczy. Źle byłoby, gdyby było inaczej, gdyby np. szerokie sfery społeczeństwa naszego chciały obecne i przyszłe stosunki polsko-niemieckie małodusznie przefilozofować i zgóry uciekać od myśli odparcia ewentualnego najazdu.

Widząc przygodnie tę zadzierżystość w nastawieniu społeczeństwa, wspominam mimowoli podobne nastawienie naszych przodków przed pięciuset laty, gdy zbliżała się walna rozprawa pod Grunwaldem. I wówczas podobna do dzisiejszej psychika panowała z obu stron polsko-niemieckiego kordonu: tam nieprzebrana pycha i pogarda dla „wschodniego plemienia", którego ziemie miały stać się za jednym zamachem łupem germańskiej potęgi — tu spokojna, nieugięta, pewna siebie wola zwycięstwa, która, mimo słabszego uzbrojenia, zwyciężyła pod Grunwaldem, a potem wypędziła krzyżactwo z Pomorza, Gdańska i malborskiej stolicy.

Nie mogę natomiast, o ile chodzi o zasadnicze nastawienie prywatnych sfer społeczeństwa, podzielać nazbyt pacyfistycznego i nazbyt „trzeźwego“ zdania różnych ekonomistów, którzy oponują przeciw temu naturalnemu odruchowi instynktu narodu, głosząc w skomplikowanych wywodach absolutną, bezwzględną konieczność dobrych stosunków z naszym zachodnim sąsiadem za wszelką niemal cenę. Byle interes szedł, mniejsza o resztę. Business over all! Jeśli tylko kupcy i przemysłowcy polscy kłaniać się będą dość nisko przed komiwojażerem niemieckim, to już wszystko napewno dobrze pójdzie, a rzekoma centrala dolarowa w Berlinie, której podobno żaden Polak pominąć nie może, zasypywać będzie polskie banki i fabryki deszczem złota.

Nie znają widocznie ci panowie właściwej natury niemieckiej psychiki, albo sądzą, że można przejść nad nią do porządku dziennego, gdyż „handel zrobi swoje“. Nie liczą się z tem, że życiem gospodarczem, jak i politycznem, rządzą najczęściej nie reguły ex cathedra, ale przedewszystkiem czyniki psychologiczne oraz inne przyczyny, nie mające nieraz nic wspólnego z teorjami ekonomji.

Ale rzecz najważniejsza, skąd rodzi się ten bojowy animusz w naszem społeczeństwie, nawet w jego starszem pokoleniu, które przeżyło niedawno różne okropności wojny światowej? Skąd rodzi się to nastawienie, to przekonanie o „nieuchronnem starciu“ z Niemcami? A przedewszystkiem, czy grozi naprawdę to starcie?

Bojowe nastawienie społeczeństwa naszego rodzi się oczywiście i wzmaga pod wpływem tego wszystkiego, co się dzieje w Niemczech, a zwłaszcza wskutek ustawicznych prowokacji niemieckich i gdańskich, ziejących nieprzytomną zawiścią do wszystkiego, co polskie. Wzmaga się na widok tej rzekomej ewolucji w Niemczech — od względnej ugodowości, której rzekomym przedstawicielem był Stresemann, do bojowego, wywrotowego nacjonalizmu, którego przedstawicielem jest Hitler. Publiczność nasza obser-

wuje zewnętrzne efekty tego postępu, zwłaszcza wzrastające sukcesy wyborcze hitlerowców, porażkę względnie umiarkowanego kanclerza Brüninga, wreszcie dojście do władzy rządu generałów, ciężkiego przemysłu i krautjunkrów. Widzi coraz czelniej i hałaśliwiej rozpierające się bojówki nacjonalistyczne już nietylko w samych Niemczech, ale i w Gdańsku, który stoi niby pod pewnym polskim protektoratem i wchodzi w obręb polskiej granicy celnej i polskiego zarządu kolei. Widzi wreszcie coraz butniejszą, zaborczą tendencję, ujawniającą się hałaśliwie w całych Niemczech, jak długie i szerokie, poczynając od katedr uniwersyteckich, na których wykłada się owa osławiona „geopolityka", mająca na celu „naukowe" uzasadnienie wszelkich niemieckich pretensji zaborczych, aż do sfer najszerszych, które wprawdzie głodują, ale żyją ustawicznem podnieceniem ultra-patrjotycznem, w atmosferze bojowych organizacji, hełmów stalowych, oddziałów szturmowych i t. p. Wszystko więc, co się w Niemczech dzieje, wygląda — przynajmniej z wierzchu — na to, że gotuje się tam istotnie zbrojny atak na Polskę, jeżeli nie dziś, to jutro lub pojutrze.

Ale, mojem zdaniem, cała ta groźba, cała ta zewnętrzna ewolucja bojowa, to w gruncie rzeczy tylko hałaśliwe pozory, niepozbawione pewnej intencji szantażu, które Niemcy świetnie umieją inscenizować. Pozory — bo zdaje się nie ulegać wątpliwości, że dzisiejszy ogół niemiecki, o ile ludzkim osądzić można rozumem, bynajmniej wojny nie pragnie. Wiedzą Niemcy chyba doskonale, że prowokując na serjo jakąś awanturę wojenną, postawiliby wszystkie swe aspiracje, słuszne czy niesłuszne, a zarazem i egzystencję swego państwa na jedną rozpaczliwą kartę, która prawdopodobnie przeciw nim się odwróci. Wiedzą z pewnością, że napadając na Polskę, byliby szaleńcami, cofającymi się do tradycji Attyli, a przekreślającymi wszelkie tradycje Goethego. Nie pozostawałoby wówczas cywilizowanej Europie nic innego, jak zniszczyć raz na zawsze takie ogni-

sko ustawicznego niepokoju i agresji w samem centrum kontynentu.

Mam jednak, mimo wszystko, zbyt jeszcze wysokie mniemanie o niemieckim metodycznym rozsądku, żeby zgodzić się na myśl, iż Niemcy pragną na serji popełnić na sobie takie harakiri. Dlatego uważam na razie wszystkie buńczuczne i zaborcze porywy niemieckie, oficjalne czy nieoficjalne, za prosty manewr targowy, za system polityki hałaśliwego maksymalizmu, aby od zastraszonej nim Europy wytargować coś znacznie mniejszego: np. kolonje — które ostatecznie trzeba będzie dać Niemcom, żeby przestali dusić się w swych nazbyt wąskich granicach, co ich istotnie z biegiem czasu i w miarę wzrostu ludności może doprowadzić do uzasadnionej rozpaczy.

Jest to więc na razie dobrze i planowo zainscenizowana tragikomedja, którą notabene ułatwia niesłychana niezadrność i biurokratyczna powolność działania Ligi Narodów. Być może, że stopniowo, w razie bankructwa tej ciężkiej, prawie nigdy nie zdecydowanej, a często i nieszczerze gadatliwej instytucji genewskiej, którą już mech zgrzybiałości zaczyna pokrywać, oraz w miarę przewlekania się i osłabiania różnych dzisiejszych warunków i stosunków w Europie, groźba jakiegoś niemieckiego, czy nawet rosyjsko-niemieckiego ataku stanie się aktualną. Ale na razie żadna wojna z Niemcami nie grozi, nawet — jak chcą tego piękne nasze panie — w razie konfliktu sowiecko-japońskiego. Będą dalsze burdy hitlerowskie i wewnętrzne zamieszki niemieckie i pograniczne szykany Polaków i nowe piosenki bojowe i nowe dzieła niemieckiej „geopolityki", arogujące dla rasy germańskiej ziemie słowiańskie po Dniepr i poza Dźwinę na podstawie legendarnej inwazji normandzkich Waregów, będą lingwistyczne tłumaczenia początków Warszawy na Wareshof, będzie dawał coraz bardziej urozmaicone przedstawienia cyrk gdański (założony tępym uporem Lloyd George'a), będzie przemysł niemiecki wspomagać techniczną rozbudowę So-

wietów za weksle, złoto i platynę (jak to niestety czyni i przemysł polski, ale ten bez złota i platyny) i t. d. i t. d.

Ale wojny z Niemcami nie będzie, mimo wszelkich zmian rządu w Berlinie, choćby nawet i sam Hitler osiągnął w końcu właściwy cel swych marzeń, t. j. posadę kanclerza. A rzecz wiadoma, że każdy radykał, gdy dojdzie do władzy, rychło się uspakaja. Dlatego sądzę, że nie mamy powodu obawiać się nawet Hitlera w rządach niemieckich, bo gdy rządy te nareszcie posiędzie, to — es wird ihm besser werden!

Nie mam bynajmniej pretensji dyplomatycznych, ani tem mniej proroczych, ale zdaje mi się, że tak mniejwięcej będzie, zwłaszcza, że Niemcy mają u siebie legalnie uznaną partję komunistyczną, liczącą około czterech miljonów członków — a więc znacznie więcej, niż liczy partja komunistyczna w samej Rosji — i jawną, legalną komunistyczną prasę, która też robi swoje. Mimo więc nadrabiania na zewnątrz pozą i gestem zaborczym, czują dobrze ciężką kulę u nogi i wznoszącą się pod nogami czerwoną lawę, która przy pierwszej okazji może wybuchnąć.

A my w Polsce nic podobnego nie mamy. Żadna u nas podziemna lawa wybuchem nie grozi, możliwe zawsze w dzisiejszych demokratycznych czasach awanturki nie przekroczą, nawet w najgorszym razie, zakresu działania policji. Rewolucji u nas nie będzie, nawet gdyby czupurna prasa radykalna sto razy jeszcze groziła „gniewem ludu". W Polsce, mimo wszystko, mimo kryzysu, mimo wszelkich wystrzałów krasomówczych przez okno na ulicę, mimo powiewania gdzieniegdzie (w święta) czerwoną chorągiewką, panuje w istocie nastawienie jeszcze niemal patryarchalne. Może ktoś kogoś obić, ktoś kogoś nawet zastrzelić, jakiś agitator urządzić awanturę w jakiejś fabryce, ale do rewolucji nikt społeczeństwa polskiego nie wyciągnie. A to rzecz ważna, bardzo ważna i daje nam stanowczą przewagę nad Niemcami. My się siebie nawzajem nie boimy i jesteśmy w tem jednem wszyscy zgodni, że gdyby nas Nie-

miec sprowokował, to każdy z nas chwyci zgodnie za karabin — konserwatysta, czy socjalista — pozostawiając na później wszelkie międzypartyjne rozgrywki. A tej pewności nie mają Niemcy, podminowani na serjo bolszewizmem, a zdający sobie w głębi duszy sprawę, że różni profesorowie, przemysłowcy i kondotjerzy polityczni prą do rzucenia ich losu i bytu na jedną kartę z absurdalnie naciągniętych motywów.

Nie, wojny na razie nie będzie. Wojna — skoro już koniecznie w tej sprawie coś powiedzieć trzeba — zaczęłaby na serjo dopiero wówczas grozić, gdyby ukazała się poważna rysa wśród mocarstw zachodnich. Tak, jak się powojenne stosunki ułożyły, powiew wojny wyjść może nie z Berlina, ale z Rzymu, Paryża lub Londynu. Dopóki te decydujące mocarstwa, pomijając już Stany Zjednoczone, trwają istotnie przy idei pokoju i mimo wszystkich tarć rozbrojeniowych, żadne z nich nie myśli o pognębieniu drugiego zapomocą wojny, dopóty Polska nie potrzebuje liczyć się z ewentualnością zbrojnego napadu Niemców.

Dopiero gdyby tam, na zachodzie, zarysował się poważny rozłam interesów i tendencji, wówczas zbliży się groza wojny. Na razie zaś sądzę, że wszelkie inscenizacje niemieckiego nacjonalizmu, to tylko planowa, systematyczna taktyka — coprawda dość skuteczna — stopniowego wyzwalania się z pod klauzul traktatu wersalskiego. I w tym zakresie nie widzę żadnej zasadniczej różnicy między najspokojniejszym niemieckim burżujem a najzacieklejszym hitlerowcem.

Antoni Siewierski.

EKONOMICZNA AKTYWNOŚĆ JAPONJI.

Jedną z najbardziej charakterystycznych cech dzisiejszej Japonji, to mieszanina dawnego konserwatywnego Wschodu z ultra-modernistyczną Europą — a raczej Ameryką! Trudno wprost uwierzyć, aby jedna tylko generacja *) mogła przyswoić obcą sobie zupełnie cywilizację i zorganizować na modłę europejską całą administrację, koleje, armję, a nawet podstawy swego ekonomicznego bytu. Do 1890 r. kraj pod względem gospodarczym znajdował się na poziomie państw zachodnich w XVI wieku: typowo rolniczy, ubogi w surowce, szczególnie w żelazo i węgiel, o słabo rozwiniętym handlu i przemyśle, mogącym liczyć jedynie na pracę ręczną i inicjatywę jednostki. Robotnik, zręczny, pracowity, przyzwyczajony do pierwotnych form produkcji domowej i drewnianych narzędzi, zdawał się niełatwy do intensywnej pracy fabrycznej i technicznych metod nowoczesnej industrjalizacji. Eksport nie egzystował wcale, bo wszelki kontakt z zagranicą surowo był wzbroniony prywatnym jednostkom, a handel wewnętrzny wegetował tylko w całem państwie, uważany za zajęcie poniżające i godne pogardy. W hierarchji socjalnej kupiec zajmował miejsce, o jeden stopień zaledwie wyższe od złodzieja!

W tych warunkach przemysłowe państwa europejskie mogły bez trudności opanować rynki japońskie i zalewać je swymi towarami. Ale mądry Japończyk zorjentował się szybko w sytuacji. Aby zachować swą narodową i ekonomiczną niezależność, zabrał się do produkowania na miejscu wszystkiego, co dotychczas importował. Od 1904 da-

---

*) Dzisiaj można już mówić o dwóch. (Przyp. Red.).

tuje się właśnie rozwój japońskiego przemysłu i handlu, ale po wojnie światowej nabiera iście amerykańskiego tempa. Dziś jest to państwo wysoce uprzemysłowione, o tysiącznych fabrykach i wielkich domach handlowych.

Dwa są główne czynniki, które wpłynęły na te korzystne zmiany: rząd mądry i przewidujący i charakter narodowy Japończyków. Posiadają oni cechy, których połączenie ma zawsze dodatnie wyniki, mianowicie gorący patrjotyzm i umiejętność podporządkowania się żelaźnej dyscyplinie. Rząd, aby zapewnić sobie wyszkolonych techniecznie pracowników, ufundował liczne stypendja dla studentów, chcących kształcić się w zachodnich uniwersytetach i począł sprowadzać zagraniczne misje dla zeuropeizowania lokalnego przemysłu. Już w 1872 misja francuska pod przewodnictwem Breuner'a zreformowała japońskie fabryki jedwabnych wyrobów. Żadna jednak z tych misji nie pozostawała dłużej, niż kilka lat, bo Japończycy nie życzyli sobie wcale, aby „djabły zamorskie", osiadły się u nich na stałe.

Następnym etapem było zakładanie przedsiębiorstw przemysłowych, które rząd podtrzymywał swymi kapitałami i nieustanną moralną opieką. Często prowadził je całkowicie na własną rękę, aby dać przykład pracy wydajnej i konsekwentnej. Nietylko koleje żelazne i przemysł wojenny, ale też chemiczny i tekstylny zawdzięczają swe powodzenie rządowi, którego interwencja daje się odczuwać dodatnio w każnej dziedzinie narodowej egzystencji. Akcję tę ułatwia mu znakomicie charakter Japończyków. Jeżeli dawniej zarzucano im bierność i brak inicjatywy, to dziś ta skłonność do posłuszeństwa wychodzi im na dobre, ułatwiając akcję zbiorową i grupowanie się w wielkie stowarzyszenia. Patrjotyzm ze swej strony każe każdemu z członków dawnego towarzystwa, zaczynając od dyrektora, a kończąc na najskromniejszym urzędniku, wytężyć wszystkie siły, aby swą pracę wykonywać sumiennie i wydajnie. A ponieważ kapitaliści i rząd idą ręka w rękę, aby

dana instytucja funkcjonowała jak najlepiej, wytwarza się atmosfera patrjarchalna, dająca idealne warunki rozwoju. Ta właśnie patrjarchalność jest specjalną cechą japońskiego ekonomicznego życia. Stosunek pracodawcy do pracownika jest wprost feudalny. Robotnicy w wielkich zakładach przemysłowych otrzymują mieszkanie i całodzienne utrzymanie przy fabryce, a w małych przedsiębiorstwach czeladnik żyje życiem rodzinnem ze swym majstrem, w znacznie lepszych stosunkach, niż na zachodzie, pomimo, że ten ostatni płaci mniej, a wymaga więcej.

Charakterystyczną rzeczą jest w Japonji ta równoległość obu form ekonomicznych, starej i nowej. Przy olbrzymim rozwoju niektórych gałęzi przemysłu egzystują jeszcze dawne małe przedsiębiorstwa, a nawet chałupnictwo, szczególnie w dziedzinie jedwabnictwa i garncarstwa. W każdym razie ekonomiczne dzieje dziesiejszej Japonji są wspaniałym dowodem, co może zdziałać nauka, zastosowana do rolnej i przemysłowej produkcji, dla podniesienia dobrobytu i rozwoju społeczeństwa. W połowie XIX wieku niełatwem zadaniem było znaleźć na małej stosunkowo wyspie dostateczną ilość żywności i miejsca pod słońcem dla 25 — 30 miljonów ludzi, z których większość żyła w nędzy, jak to ma dziś miejsce w Indjach i Chinach. Właściwie głód zwrócił oczy japońskich mężów stanu na Zachód. Z podziwu godną energją zabrano się do natychmiastowego wykonania powziętego planu: najpierw zreorganizować armję i marynarkę na wzór europejskiej, pod okiem instruktorów angielskich, francuskich i niemieckich.

W rezultacie zwycięstwo nad Chinami w 1897 dało Japonji indemizację wojenną, która dostarczyła kapitału na pierwsze inwestycje w przemyśle, pomyślna wojna z Rosją umożliwiła ekonomiczną kontrolę nad Mandżurją, a wkońcu sprzyjające okoliczność w okresie wojny światowej zapewniły jej niebywałą ekspansję handlową, stawiając ją w rzędzie pierwszorzędnych mocarstw światowych.

Ale stokroć ważniejsze, niż zdobycze techniki wojen-

nej, są dla Japonji postępy w kulturze rolnej, które zawdzięcza Europie. W 1880, kiedy ludność wynosiła 36 miljonów, produkcja ryżu dochodziła do 4,67 buszli na każdego mieszkańca. W 1928, gdy ludność wzrosła do 64 miljonów, rolnicy produkują także 4,67 buszli na głowę, jedynie dzięki wiedzy, zdobytej na Zachodzie. W przeciwieństwie do Anglji, w której rolnictwo jest dotychczas zaniedbane, Japonja czuje się zaasekurowana od śmierci głodowej w razie wstrzymania importu artykułów spożywczych w czasie wojny. Wogóle skala życia nie jest wysoka. Japończyk, przyzwyczajony w ubiegłem stuleciu jeść tyle tylko, aby nie umrzeć z wyczerpania, do dziś dnia ma małe wymagania; ale chyba żaden naród na świecie nie potrafi znosić ubóstwa z taką godnością i spokojem. Podstawowym jego pokarmem jest ryż i ryba, której dostarczają okoliczne morza, obfitujące w największe na kuli ziemskiej ilości różnych odmian i gatunków. Jedna czwarta światowego połowu ryb przypada na Japonję, bo linja jej brzegu, załamująca się w tysiączne zatoki, sprzyja ogromnie rozwojowi rybołóstwa. Cesarski Instytut Ichtjologiczny, zakładający liczne laboratorja i stacje doświadczalne w różnych częściach kraju, posiada wybitnych uczonych, znanych w świecie całym.

Są to małe przykłady niezwykłej inteligencji i siły twórczej tego wyjątkowo dzielnego narodu. Japonja potrafiła zorganizować dla swych rybaków i rolników najlepszą w świecie pomoc techniczną i udziela im tak praktycznych wskazówek, że w krótkim czasie dało się osiągnąć imponujące wyniki. Między 1879 a 1925 ludność wzrosła o 60 procent, artykuły spożywcze o 100 procent, a całkowita produkcja rolna, z uprawą morwy włącznie, nawet o 175 procent. Wobec tego eksperci miejscowi i zagraniczni twierdzą, że Japonja nie potrzebuje troszczyć się o wyżywienie swych mieszkańców w najbliższej przyszłości. Rządowa Komisja Aprowizacyjna, biorąc pod uwagę pewną ilość nieużytków, które można jeszcze do-

prowadzić do odpowiedniej kultury i możliwość podniesienia wydajności ryżu, wydała w zeszłym roku okólnik, że Japonja ma zapewnioną samowystarczalność pod względem żywności conajmniej na 30 lat, chociaż ludności przybywa mniejwięcej 650 tysięcy rocznie.

Ale aprowizacja nie jest jedynem zagadnieniem państwa i nie wystarczy produkować tyle tylko, aby ludzie nie umierali z głodu. Trzeba mieć też coś na eksport, by utrzymać armję, flotę, szkoły i inne instytucje socjalne, a także popierać wielki przemysł, który wciąż bywa finansowany przez rząd, w braku prywatnego kapitału.

Ktoś dowcipnie powiedział, że rozwój ekonomiczny Japonji wisi na cienkiej nitce jedwabnej i rzeczywiście, głównym jej artykułem eksportowym jest przędza jedwabna, która wynosi 40 procent jej ogólnego wywozu. Z tego 90 procent zabierały dotychczas Stany Zjednoczone. Kryzys amerykański w 1929 odbił się fatalnie na przemyśle japońskim. Natychmiast ceny jedwabiu spadły o połowę, w dokach Jokohamy nagromadziły się olbrzymie zapasy towaru. a 25 procent robotników zostało pozbawionych pracy. Aby zapobiec rozruchom i wzrastającemu niezadowoleniu, rząd widział się zmuszonym udzielać zapomogi tak przędzalniom, jak bezrobotnym, obciążając skarb państwa sumą bardzo poważną. A zatem nadprodukcja i spadek cen pszenicy w Ameryce pociągnęły za sobą krach w przemyśle jedwabnym Japonji. I tu i tam podniesienie produkcji, dzięki nowoczesnym metodom wytwórczości, nie szło w parze z naukowo ulepszoną organizacją eksportu.

Drugą z kolei główną gałęzią japońskiego przemysłu jest nietylko przędza, ale i tkanina bawełniana. Wysokie taryfy amerykańskie na jedwabne materjały nie pozwalają Japonji wykorzystać na większą skalę zręczności i artyzmu swych tkaczy i rysowników. Ale bawełniany przemysł stoi tak wysoko pod względem technicznym, że zajmuje poważne miejsce na wszystkich rynkach światowych. W 1913 około 23.299 warsztatów produkowało 416 miljonów yar-

dów towaru, a w 1929 roku 70.210 warsztatów wydało miljard i pięćset trzydzieści osiem miljonów yardów, przynosząc kolosalne wprost dochody. Przed krachem w Stanach Zjednoczonych, a szczególnie przed nieporozumieniem z Chinami, jedno z głównych towarzystw bawełnianych płaciło 35% dywidendy, a rezerwy pieniężne wzrosły do 165% włożonego kapitału.

Jedwab i bawełna stanowią 2/3 japońskiego eksportu, bo rudy żelaznej i węgla nie posiada Japonja prawie wcale, a miedź nie może konkurować z amerykańską i afrykańską nawet na rynkach wewnętrznych. Ale wypadki ostatnich paru miesięcy wykazały, że nawet bawełna może zawieść pokładane w niej nadzieje. Dawniej Chiny zabierały 34 procent całej produkcji, a inne kraje azjatyckie 36 procent. W dodatku kapitały japońskie ulokowane były w niemal połowie przędzalni chińskich. Nic więc dziwnego, że poprzedni rząd starał się utrzymać stosunki poprawne z tak wygodnym konsumentem. Gdy w Szanghaju rozpoczął się ruch nacjonalistyczny, nawołujący do bojkotu towarów japońskich, odrazu z 46.000.000 yardów w październiku 1930 eksport bawełnianych towarów spadł do 400.000 yardów w październiku 1931. Anglja wykorzystała tę sytuację, zdobywając niektóre rynki, utracone w czasie wojny światowej na korzyść Japonji, a rosyjskie wyroby dotarły do miejscowości, położonych wzdłuż południowo-mandżurskiej kolei. Jest to cios dla przemysłu japońskiego, bo i bez tego, jedynie w czasie ostatniej wojny, w 1914 i dwóch następnych latach, eksport przewyższał import, a od 1924 niedobór budżetowy wynosił miljony yenów rocznie. Minister finansów Kyoto skonstatował na przemówieniu w cesarskim uniwersytecie, że „odkąd Japonja weszła w stosunki handlowe z resztą świata, rozpoczęła się ustawiczna walka o zdobycie pieniędzy, potrzebnych do spłacania zagranicznych długów“. Trzeba przyznać, że płaci je zawsze uczciwie!

Sytuacja stała się prawdziwie krytyczną: japoński robotnik nie może rywalizować z chińskim, którego „standart

of living" jest jeszcze niższy i emigracja wstrzymana jest do wszystkich okolicznych państw, brak surowców taki, że nawet bawełnę trzeba importować ze Stanów Zjednoczonych i Egiptu i wzmaga się konkurencja więcej uprzemysłowionych krajów europejskich, a szybki przyrost ludności każe przewidywać coraz większe bezrobocie.

Wobec tego ekspansja na kontynencie Azji staje się wprost koniecznością i nowoogłoszona Respublika Mandżurska musi być terenem politycznej i gospodarczej aktywności Japonji. Jest to kraj, obejmujący 941.700 kilometrów kwadratowych, o charakterze wyraźnie lądowym. W zimie panują tu mrozy, dochodzące do czterdziestu stopni poniżej zera, latem zaś temperatura trzyma się mniejwięcej około trzydziestu pięciu stopni ciepła. Ale w czerwcu i lipcu przychodzi sezon deszczów, dzięki którym roślinność rozwija się bujnie, dając wspaniałe urodzaje, bo gleba jest nadzwyczaj żyzna. Głównie sieją tu pszenicę, kukurydzę, proso i odmianę fasoli, zwanej „soya". Góry na wschodzie prowincji Kilin, nad rzeką Yale, są pokryte gęstymi lasami, przedstawiającymi ogromną wartość. Będąc krajem wybitnie rolniczym, posiada też Mandżurja niewyczerpane bogactwa mineralne: węgiel, torf, żelazo, złoto, srebro i t. d. Nic więc dziwnego, że będzie zawsze kością niezgody dla sąsiadów. Japonja musi utrwalić tam swe wpływy dla zdobycia surowców, wbrew interesom Chin, które wobec przeludnienia i nędzy, panującej w kraju, niechętnie ustąpią z prowincji, mlekiem i miodem płynącej. Dla Sowietów zaś Wschodnia Kolej Rosyjsko-Chińska ma wielkie znaczenie. O ileż wygodniej wysyłać towary prosto do Dairenu i Portu Artura, zamiast kierować je z Czyty do Władywostoku drogą okrężną przez Błagowieszczeńsk i Chabarówkę! Zajęcie Mukdenu jest dla Rosji bolesnym ciosem. Jeżeli Sowiety zniosły go z rezygnacją, dowodzi to niezbicie, jak bardzo obawiają się wojny. Ale jeśli następnym etapem po opanowaniu Mandżurji będzie dążenie do zagarnięcia olbrzymich obszarów Mongolji Wschodniej, stosunki sowiecko-japońskie mogą zawikłać się bardzo poważnie.

M. Zabiełłowa.

SPROSTOWANIE.

W artykule p. L. Gembarzewskiego p. t. „Pierwszy belgijski mąż stanu“, zamieszczonym w niniejszym tomie, spostrzegliśmy omyłkę drukarską, popełnioną po wykonaniu ostatniej korekty i której dlatego niepodobna już było w tekście poprawić.

Mianowicie na str. 35, wiersz 12 od dołu, ma być: „Koburg i Pitt“.

PIERWSZY BELGIJSKI MĄŻ STANU.

(KRÓL LEOPOLD I).

Sto lat temu, gdy Polska po powstaniu listopadowem utraciła konstytucję z 1815 r. i nie zaczęła korzystać z oktrojowanego statutu organizacyjnego Mikołaja I-go, gdy Francja, która wywołała wybuchy rewolucyjne, traciła energję, spożywaną przez romantyczny rewolucjonizm, zaszczepiony jej dzięki upadkowi starszej linji Burbonów, sto lat temu właśnie, w r. 1832, jedyny naród, który skorzystał z r. 1830, Belgowie, utwierdzili swój byt niepodległy, zakończywszy na terenie międzynarodowym sprawę uznania swej niepodległości i gwarantując sobie bezpieczeństwo i dobre stosunki ze strony Francji przez małżeństwo pierwszego króla, Leopolda I, z królewną francuską, córką Ludwika Filipa.

Leopold I, był to pierwszy Koburg na tronie królewskim i od niego datuje się okres spokrewnienia się małej rodziny Koburgów z najstarszemi dynastjami w Europie. Nazwisko Koburg było znane na całym świecie już w pierwszych latach życia Leopolda, ale oczywiście jeszcze nie dzięki niemu. „Koburg i Piff!“ — tym okrzykiem usprawiedliwiali żyrondyści i jakobini wojnę Francji z Europą i rzezie rewolucyjne. Książę Koburg był jednym z wodzów armji europejskich, które skierowały się przeciw agresywnej Francji rewolucyjnej. Jednak, gdy już przed rokiem 1800 wielki rewolucjonista Sieyes projektował oddanie tronu francuskiego ks. brunświckiemu, który był naczelnym wodzem armji, walczących z rewolucją farncuską, to tem łatwiej można było zgodzić się w 40 lat po wybuchu wielkiej rewolucji na osadzenie młodego Koburga, który walczył tylko z Napoleonem, na tronie belgijskim i na ożenienie go z królewną francuską. O nienawiściach wielkiej rewo-

lucji francuskiej do Koburgów nie warto było nawet sobie przypominać, oceniając stanowisko polityczne Leopalda belgijskiego, który dzięki wypadkom, zaszłym już przed rokiem 1930, uchodził za przedstawiciela liberalnego kierunku politycznego i do historji przeszedł w aureoli liberalizmu.

Jak na małego księcia niemieckiego, nie będącego nawet nastęcą tronu w rodzinnem księstewku, miał Leopold koburski życie bardzo urozmaicone i zakrojone na wielką skalę. Już cesarzowa Katarzyna II zatroszczyła się o chłopca i został on umieszczony na liście rosyjskiego doborowego korpusu wojskowego. Pomimo stawiania pierwszych kroków w świcie Aleksandra I, umiał jednak książę tak dobrze przedstawić się Napoleonowi I, że był zamiar przydzielenia go w charakterze przybocznego adjutanta do cesarza Francuzów. Nie doszło jednak do tego z powodu resztek nieufności, żywionej względem niemieckiego prinza i od r. 1812 Leopold koburski brał udział w charakterze generała w wojnach Rosji i koalicji przeciwko Francji napoleońskiej.

Najbliżej czuł się Leopold związanym z losami Rzeszy niemieckiej i Habsburgów i był jeszcze tylko Niemcem, gdy w r. 1814 poznał w czasie krótkiej wizyty w Anglji Karolinę, jedyną córkę ówczesnego regenta, a późniejszego króla Jerzego IV. Karolina zerwała z paroma narzeczonymi, wśród których znajdował się i Wilhelm holenderski i postanowiła, wbrew woli swojej rodziny, wyjść zamąż za Leopolda. Małżeństwo to doszło do skutku i w ten sposób ks. koburski stał się domniemanym księciem-małżonkiem, gdyż Karolina po Jerzym III, swoim dziadku i po regencie, swoim ojcu, miała zostać królową angielską. Dzięki wejściu do angielskiej rodziny królewskiej stał się Leopold księciem angielskim i nietylko z pozoru, ale rzeczywiście przemienił się na Anglika. Stosunki swoje z teściem i z ministrami umiał przyszły ks. małżonek pomyślnie ułożyć i spędzał urocze chwile kochającego małżonka, gdy prawie nagła śmierć Karoliny zmieniła losy Leopolda. Jednak dobre zaaklimatyzowanie się w Wielkiej Brytanji i małżeństwo rodzonej sio-

stry Leopolda z ks. Kent, domniemanym następcą tronu, pozwoliły Leopoldowi po śmierci Karoliny pozostawać w Anglji i uchodzić za księcia coraz bardziej angielskiego, co zresztą odpowiadało rzeczywistości. Zaszła nowa śmierć: umarł ks. Kent, następcą Jerzego IV stał się późniejszy Wilhelm IV, ale po Wilhelmie była na tron desygnowana przez angielskie prawo dziedziczenia korony córka ks. Kentu, siostrzenica Leopolda, Wiktorja, której panowanie stało się epoką założenia wszechświatowego imperjum brytyjskiego. Pierwsze lata po śmierci męża zamieszkiwała księżna Kent z Wiktorją u brata, który posiadł wówczas ojcowski autorytet nad przyszłą królową.

Zagadnienia międzynarodowe zajmowały stale Leopolda koburskiego i nie pochodziło to z przyczyn abstrakcyjnych, bo sytuacja, jaką zajmował na dworze angielskim, czyniła zeń osobistość, którą dyplomaci brali pod uwagę, planując rozwiązania problemów, które powstawały po kongresie wiedeńskim. Już przed rokiem 1830 wysuwana była kandydatura Leopolda na tron tworzącego się królestwa greckiego. Intrygi Capodistriasa, tymczasowego rządcy, zniechęciły młodego Koburga do objęcia tronu w trudnych bardzo warunkach. Historja Grecji nawet dzisiaj dowodzi, że Leopold miał słuszność zrzekając się korony greckiej, ale nie zrealizowana kandydatura u Hellenów przedstawiła go na forum europejskiem jako angielskiego kandydata w razie projektów zakładania gdziekolwiek nowej dynastji. Powstanie belgijskie miało dać rzeczywiście koronę królewską młodemu księciu angielskiemu pochodzenia niemieckiego.

Najprawdopodobniej rewolucja w Belgji udałaby się nawet, gdyby nie została poparta przez interwencję francuską, gdyż jeszcze przed rokiem 1930 Anglicy zrozumieli, że rosnące niezadowolenie Belgów z unji państwowej z Holandją może wyjść tylko na korzyść Francji i tem samem belgijsko-holenderskie dzieło Kongresu wiedeńskiego mogło mieć skutek odwrotny od zamierzonego, a mianowicie za-

miast holendersko-belgijskiego bastjonu przeciw Francji, mogły powstać wszystkie warunki do aneksji Belgji przez Francję, w myśl życzeń nietylko Francuzów, ale i ogółu ludności belgijskiej. Inaczej, niż do powstania polskiego, odnosiła się Anglja raczej z przychylnością do rewolucji belgijskiej, a gdy się okazało, że Belgowie nie zostaną z łatwością pokonani przez Holandję, wtedy Anglja postanowiła poprzeć i uchwycić w swe ręce sprawę niepodległości Belgji, z obawy, aby rewolucja belgijska nie przyczyniła się do powiększenia terytorjum królestwa francuskiego. Chodziło angielskim mężom stanu o to, aby nie pozwolić na dojście do skutku nawet ukrytego związku Belgji z Francją. Niezwykle rozważny i stanowiący pod tym względem antytezę rozpolitykowanej ówczesnej francuskiej opinji publicznej Ludwik Filip nie zgodził się na jednomyślne życzenie belgijskiego zgromadzenia narodowego, które prosiło ks. de Némours, jednego z synów Ludwika Filipa, aby przyjął koronę nowej monarchji. Było rzeczą prawie naturalną, że zięć króla angielskiego stał się kandydatem Foreigne Office'u i że ta kandydatura musiała być przyjęta przez Ludwika Filipa i przez rządy innych mocarstw.

Po objęciu władzy w Belgji stał się Leopold nowym przykładem, jak pewien rodzaj prawa naturalnego skłania monarchę dziedzicznego do przejęcia się wyłącznie interesami swojego kraju. Neuray, redaktor bardzo wysoko postawionego dziennika, wychodzącego teraz w Brukseli pod tyt. „La Nation Belge", często zwraca uwagę na quasi przyrodzoną łączność egoizmu dynastycznego z egoizmem narodowo-państwowym; doskonałym wzorem dla poparcia wywodów Neuray'a stał się właśnie książę niemiecko-angielski, który był pierwszym monarchą niepodległej Belgji.

Natychmiast po zorjentowaniu się w położeniu swego kraju, Leopold stał się najwybitniejszym belgijskim mężem stanu na cały czas swego panowania. Zrozumiał, że trwały interes Belgji wymaga pokoju europejskiego. I to słuszne pojęcie interesu belgijskiego oddaliło Leopolda zaraz od An-

glji i uczyniło zeń nie człowieka Anglji, lecz odwrotnie człowieka, który na Anglję patrzył z punktu czysto utylitarystycznego. Za czasów swego stałego pobytu w Wielkiej Brytanji strał się Leopold koburski o zachowywanie neutralności politycznej, ale ku końcowi swego pobytu ujawniał sympatje dla liberałów i napewno nie pochwalał go Metternich za wielką sympatję dla Canninga. Otóż od r. 1830 Leopold, jako szermierz pokoju europejskiego, musiał zbliżyć się i odczuwać największą sympatję dla potęg, przeciwstawiających się wojowniczo nastrojonym elementom liberalno-demokratycznym. Karmiąca się z coraz większym zapałem metafizyką polityczno-literacką opinja sfer demokratyczno-liberalnych była we wszystkich krajach nastrojona nowatorsko w dziedzinie układu stosunków międzynarodowych; było to szczególnie wyraźne w Anglji, Francji i we Włoszech. Anglja i Francja były państwami, pomiędzy któremi musiał, według Leopolda, panować pokój, bo od niego zależała niepodległość belgijska. Z największą niechęcią odnosił się Leopold do Thiersa, a z Palmerstonem toczył prawie trzydziestoletnią wojnę. Główny obrońca status quo europejskiego po kongresie wiedeńskim, ks. Metternich, nie odrazu może pojął, jak bardzo zasady, któremi przejął się Leopold, zostawszy monarchą belgijskim, zgodne były z zasadami, panującemi wtedy na wiedeńskim Ball-Platzu. Do młodego króla, panującego w królestwie, którego powstanie było naruszeniem traktatów z roku 1815, odnosił się przez bardzo długi czas Metternich z największą podejrzliwością. W okresie kongresu wiedeńskiego umiał sobie Leopold znaleźć przyjaciół wpływowych, którzy byli mu wierni przez całe życie i oddawali mu dobre usługi wobec kanclerza austrjackiego. Monarchja naddunajska, w której najlepszym obrońcą spraw Leopolda był bliski krewny cesarza, arcyksiążę Jan i która z tego powodu, że więcej, niż Petersburg, musiała się liczyć z mocarstwami zachodnio-europejskimi i że nie chciała też być nieobecną w sprawach Belgji, zajęła inne stanowisko, niż Rosja, która po stłumieniu

powstania polskiego, nie mogąc interwenjować zbrojnie na rzecz status quo ante, postanowiła przynajmniej nie utrzymywać żadnych stosunków z Brukselą. Wobec Francji zrobił Leopold na początku swego panowania takie posunięcie, które jednocześnie zbliżało go do Francji i gwarantowało uznanie niepodległości belgijskiej przez króla Ludwika Filipa. Posunięciem tem było małżeństwo z królewną Marją Ludwiką. Z jednej strony związek ten dawał Leopoldowi możność stałego i intymnego kontaktu z monarchą francuskim, którego wpływ osobisty na rządy był większy, niż za czasów restauracji, a z drugiej strony wyjście zamąż córki króla francuskiego za monarchę belgijskiego było milczącem zrzeczeniem się apetytów francuskich na Belgję. Odtąd, aż do roku 1848, panowanie Leopolda, skoligaconego z dwoma potężnymi dworami, nabierało cech coraz większej trwałości i coraz bardziej przyzwyczajało kancelarje dyplomatyczne i dwory zachodniej i centralnej Europy do mniej lub więcej wyraźnych interwencji króla belgijskiego we wszystkich ważnych sprawach międzynarodowych.

Leopold odrazu po objęciu rządów stał się prawdziwym i doskonałym ministrem spraw zagranicznych swojego państwa, a wybitne koneksje i poważne wpływy jego na tle polityki międzynarodowej XIX wieku porównać się tylko dają z koneksjami i wpływami Metternicha. Leopold belgijski prowadził politykę egoistycznie belgijską, ale wskutek tego właśnie pacyfistyczną, dynastyczną i zachowawczą. Najlepiej zgadzał się politycznie z Ludwikiem Filipem, mądrym pacyfistą z ambicjami legitymistycznemi; zgadzał się z Ludwikiem Filipem nawet w błędnej ocenie, że koniecznem jest utrzymywanie przy władzy Guizota. Ale miał większą giętkość od Ludwika Filipa i zagarnąwszy dla siebie belgijską politykę zagraniczną, ograniczał się w sprawach polityki wewnętrznej do przezornej kontroli, zdecydowanej w pewnych momentach do actes d'autorité, ale bez żadnego manifestowania chęci do sprawowania tak zważnych rządów osobistych. W wewnętrznych sprawach swe-

go królestwa zdziałał jednak bardzo dużo, gdyż był twórcą uprzemysłowienia i międzynarodowej komercjalizacji Belgji, do czego jego syn, Leopold II, przyczynił się w stopniu jeszcze wydatniejszym. W Anglji wpływy osobiste króla belgijskiego były zawsze dosyć znaczne, ale stały się naprawdę doniosłe — choć nie w takim stopniu, jak Leopold tego oczekiwał — gdy na tron w r. 1837 wstąpiła jego siostrzenica Wiktorja, a przedewszystkiem, gdy udało się wydać ją zamąż za jej kuzyna, bratanka monarchy belgijskiego, Alberta de Koburg, który oczarował swą małżonkę i rządził jej intencjami do r. 1862. Znakiem wpływów Leopolda i dlaszem ich wzmocnieniem było ożenienie innego jego bratanka z królową portugalską Marją da Gloria i małżeństwo ks. de Nemours z ks. koburską. Później jeszcze, ożeniwszy kronprinca pruskiego, Fryderyka, z córką królowej Wiktorji, syna z arcyksiężniczką, a córkę wydawszy zamąż za brata cesarza austrjackiego i znalazłszy dla niej cesarski tron w Meksyku, osiągnął władca małego kraju wszystkie rezultaty, które mógł osiągnąć na polu międzynarodowem dzięki polityce matrymonjalno-dynastycznej. Ta polityka była dyktowana instynktem familijnym, nierozerwalnie złączonym z poczuciem prawdziwego interesu belgijskiego. Nie dożył już pierwszy król belgijski upadku cesarstwa meksykańskiego, zakończonego ohydną zbrodnią, dokonaną przez prezydenta Juareza, lecz pod nowe sukcesy Koburgów, jak objęcie przez nich tronu bułgarskiego i spokrewnienie się ze starą dynastją sabaudzką, fundamenty położył właśnie Leopold.

Żadne powikłania europejskie, które zaszły pomiędzy rokiem 1830 a 1865, nie obyły się bez dorzucenia przez Leopolda ciężaru swoich rad lub wpływów na tę lub inną szalę wagi rozstrzygnięć. Zaognienie sytuacji, wywołane wojną pomiędzy wicekrólem Mechmetem Ali a Turcją, decyzje w sprawie nowego ukształtowania się Niemiec po r. 1848, wojna krymska, stosunki francusko - włosko - austrjackie po objęciu władzy we Francji przez Ludwika Napo-

leona — we wszystkich tych wydarzeniach Leopold wprawdzie nie decydował, ale we wszystkich brał udział dyplomatyczny, tak, że nowe i małe państewko było wszędzie obecne, wszędzie z respektem rozważano jego zdanie, wszędzie wiedziano, że ono istnieje.

Po r. 1848 ubyła Leopoldowi I jedna troska, przybyła za to inna: zniknął niepokój co do negatywnego stanowiska wobec Belgji dworu petersburskiego, gdyż Mikołaj I przekonał się w czasie „wiosny ludów" o trwałości tronu belgijskiego i o zachowaczo-pacyfistycznych tendencjach belgijskiego monarchy; zato powstały niepokoje z powodu Francji, w której romantyzm, trzymany na uwięzi przez Ludwika Filipa, koniecznie chciał urzeczywistniać sny o potędze. Wytrawny dyplomata, jakim był w prównaniu z Napoleonem III założyciel dynastji belgijskiej, starał się zawsze o istnienie dobrych stosunków pomiędzy Anglją, Francją i Austrją. Za czasów, gdy w Tuilleries rezydował jego przezorny teść, miał Leopold kłopoty w kwestji dobrego ułożenia stosunków francusko-angielskich, które raz się psuły dzięki wojowniczości Thiersa, drugi raz wskutek niepotrzebnej ambicji Ludwika Filipa (małżeństwa hiszpańskie), a zawsze z powodu złego usposobienia lorda Palmerstona. Po r. 1848 koło się obróciło, bo Palmerston stał się frankofilem, czego nie życzył sobie król belgijski ze względu na nieprzychylny stosunek Ludwika Bonapartego do Belgii. Gdy tedy Francja nie była w złych stosunkach z Wielką Brytanją, co właśnie nie dogadzało Belgji, to z drugiej strony stosunki francusko-austrjackie, znośne za Ludwika Filipa, zaostrzyły się dzięki Napoleonowi III do tego stopnia, że wojna była nieunikniona i wybuchła rzeczywiście, pomimo wszelkich usiłowań i machinacji Leopolda, gorącego rzecznika Austrji, który po wybuchu wojny, nie mogąc już w inny sposób dobrze radzić Habsburgom, udzielał dworowi wiedeńskiemu przynajmniej dobrych wskazówek strategicznych. Sympatje austrjackie królewskiego kierownika zagranicznej polityki belgijskiej były spowodowane dobrem

zrozumieniem sytuacji i prawdziwą belgijską racją stanu. Decydujące było tu zapatrywanie się na układ sił w Niemczech. Austrja nie miała żadnych interesów i możliwości agresywnych w kierunku Belgji i każdy zrozumiał, że panowanie Habsburgów w tym kraju skończyło się bezpowrotnie w czasie wojen wielkiej rewolucji francuskiej. Przewaga w Niemczech ciążącej ku południowo-wschodowi Austrji była z punktu widzenia belgijskiego korzystniejsza, niż przewaga Prus, do których Leopold I zaczął odczuwać niechęć już na kongresie wiedeńskim, gdy zachłanni Hohenzollernowie chcieli posiąść terytorja króla saskiego i innych mniejszych władców niemieckich. Wypada żałować, że Napoleon III nigdy nie rozumiał słuszności renversement des alliances, dokonanego już przez Ludwika XV i nie poznał, że od czasu pokoju utrechtskiego agresywność niemiecką zaczęły reprezentować Prusy, a nie Austrja.

Leopold I belgijski umarł na rok przed Sadową, ale miał dość czasu, żeby się przekonać o bezsensowności polityki francuskiej. Napoleon III został strasznie ukarany za swoje błędy i można stwierdzić z całą pewnością, że kara spotkała go w wielkiej mierze za jego politykę wobec Belgji. W kilkanaście dni po wybuchu wojny francusko-pruskiej w r. 1870 Bismarck ogłosił w pismach angielskich dokumenty, stwierdzające, że Napoleon III planował aneksję Belgji; Anglja, która w r. 1914 nie pozwoliła Niemcom pogardzić „świstkiem papieru“, pozwoliła im w r. 1870 — 1871 zwyciężyć Francję, knującą złe zamiary przeciwko Belgji. Leopold I zawsze był pewny, że Anglja stoi na straży małego królestwa; pomimo to bywały sytuacje, w których stanowisko Anglji bardzo go drażniło. Dziesiątki lat trwający zatarg z Palmerstonem uwydatnił jednak w pewnym momencie skuteczność rad, udzielanych królowej Wiktorji przez trójcę Koburgów (matka królowej, jej mąż i jej wuj); jeżeli Metternich chwalił się, że obmyślał z Jerzym IV, jak spowodować upadek Canninga, to Leopold belgijski mógł zaliczyć do swoich sukcesów dymisjonowanie lorda

Palmerstona za jego stanowisko w okresie przewrotu bonapartystycznego, urządzonego przez ks. prezydenta.

Przyznać trzeba, że żadnej osobistości z pośród działających w pierwszych dziesiątkach lat jej istnienia Belgja nie zawdzięcza tyle, co swojemu pierwszemu królowi, po którego śmierci najbardziej zasłużonym Belgiem stał się jego syn, Leopold II. Obaj ci monarchowie działali niekiedy dla dobra państwa wbrew woli samych Belgów: Leopold I działał tak w r. 1839, gdy w związku z oddaniem Holandji dwóch prowincji, w zamian za Antwerpję, ogół ludności belgijskiej domagał się wojny, a Leopold II obdarzył Belgję, pomimo pierwotnych opozycji w kraju, olbrzymiem państwem w Afryce. Szybkie ukonstytuowanie się w Belgji dwóch stronnictw, które na wzór angielski zmieniały się kolejno w gabinecie ministrów i usunięcie z kraju, w latach tworzenia się państwa, kilku zdenerwowanych oratorów demokratycznych, jak Ludwik de Potter, były dla losów Belgji równie szczęśliwemi wydarzeniami, jak objęcie tronu belgijskiego przez dynastję Koburgów, chociaż jej pierwotnie reprezentanci Belgji na tron nie powołali, wybierając ks. de Némours.

Wysokie zalety osobiste Koburgów uwydatniły się w całej pełni w postaci Leopolda I. Można powiedzieć, że szereg okoliczności przygotował go do jego roli i sprzyjał mu. Ileż jednak osobistych inicjatyw było podjętych przez króla, ile zabiegów dokonanych dzięki jego własnym wysiłkom! Leopold I poznał ogromną liczbę różnych środowisk i różnych osobistości, zaczynając od Napoleona I i zjazdu w Erfurcie, kończąc na Napoleonie III i Franciszku Józefie, który dożył, można powiedzieć, aż do naszych i to stosunkowo niedawnych czasów. W listach swoich do młodej królowej Wiktorji wskazywał Leopold, że sztuka polityki i wogóle życia, polega na umiejętności wartościowania i oceniania ludzi i okoliczności. Tę umiejętność posiadał sam Leopold w najwyższym stopniu; widział jasno swoje

cele, ale okoliczności, wśród których miał te cele osiągnąć, rozważał zawsze spokojnie, jakby objektywnie, nie przysłaniając sobie rzeczywistości swoją wyobraźnią i swojemi życzeniami. Zbyt dobrze poznał ludzi, aby mieć złudzenia, uważał człowieka za istotę raczej złą; w każdym razie daleki był od poglądu Jana Jakóba Rousseau, że człowiek rodzi się dobrym. Pomimo, że małżeństwo z Karoliną angielską było przedewszystkiem wielkim krokiem w jego życiowej karjerze, jednak szczere uczucie, do którego Leopold był zdolny, związane zostało właśnie z tem pierwszem małżeństwem, co sam król przyznawał, będąc już przeszło 70-letnim starcem. Drugie małżeństwo było krokiem politycznym, uczucie w nim było jednostronne i żywiła je królowa, a nie Leopold, który po upadku monarchji lipcowej, ale jeszcze przed śmiercią swej żony, umieścił swoje afekty w osobie pewnej szlachcianki belgijskiej, o czem historycy się nie rozpisali tak, jak np. o damach serca Ludwika XIV, chociaż pani Meyer v. Eppinghoven odgrywała taką samą rolę polityczną, jak wybranki Króla-Słońca, to znaczy żadną.

Umarł pierwszy monarcha belgijski, jako nestor monarchów europejskich, w r. 1865. Do ostatniej chwili zajmował się stary władca tajnemi nićmi dyplomacji światowej, a jak wielki był szacunek opinji międzynarodowej dla Leopolda, o tem świadczy fakt, że wybitni obywatele Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej wyrażali osobiście królowi belgijskiemu żal, że ich kraj nie ma takiego monarchy i że pogrążony jest w politycznym chaosie. Oczywiście takie żale obywateli z za oceanu musiały być miłą niespodzianką, w czasach, gdy Toquesville pisał „La Démocratie en Amerique“ i były one naprawdę hołdem, wyrażonym lojalnemu i mądremu Koburgowi.

Leszek Gembarzewski.

GŁOSY CZYTELNIKÓW.

I.

O POCZUCIU PRAWA.

Prawo jest imperatywem wyższego rzędu, jest przyrodzoną regułą rządzącą, zrosłą z naszą świadomością, jako protektor tego, co jest d o b r e m, a obrońca przed tem, co jest z ł e m. Prawo prostuje drogi należytemu biegowi życia.

Są odwieczne prawa przyrody, które rządzą światem i są prawa społeczne, wrodzone ludzkości, jak ona pradawne i stojące na stopniu jej rozwoju. Prawa społeczne, rządzące wzajemnym stosunkiem ludzi do siebie, są tak wpojone w umysły, jak świadomość praw przyrody. Poczucie „moje a twoje“ tkwi tak silnie w świadomości najpierwotniejszego człowieka, jak jego poczucie fizycznego prawa ciężkości ziemskiej i związanych z nią korzyści i niebezpieczeństw.

Na pewnym stopniu kultury zaczyna się rozwój prawa, oparty o logikę, a w dalszym rozwoju system prawny — zawsze jednak wywodzący się z prawa pierwotnego, z wrodzonego poczucia prawa. Prawo jest dobrem ludzkości, to też ludzkość broni swego prawa, jak innych swych dóbr i walczy o jego urzeczywistnienie, a walka ta wyraża się w postaci odwetu za naruszanie prawa. Gdy odwet ten napotyka na zdecydowany, bezprawny odpór, może powstać stan, który od prawieków zwykliśmy nazywać wojną. Wojna jest złem, niweczącem plony prawa, które panowało w czasie pokoju tak, jak huragan niszczy życie, powstałe w myśl praw przyrody. Huragany atmosferyczne i huragany dziejowe są stanem wyjątkowym, niszczącym. Klęski wojny, powodującej b e z p r a w i e, nazywamy na mocy kontrastu p r a w e m w o j n y. Świadomość bez-

prawia równie głęboko tkwi w umysłach ludzkich, jak poczucie prawa. Obydwa wymienione poczucia mieszkają obok siebie w świadomości tak, jak poczucia: światła i cienia.

Urzeczywistnienie prawa u cywilizowanych narodów odbywa się w trybie, określonym kodyfikacją zasad prawa, t. j. ustawą. Stąd w umysłach ludzkich pojęcia prawa i ustawy mieszają się, identyfikują, jakkolwiek pomiędzy prawem a ustawą istnieje jakościowa różnica. Ustawa, jako norma obowiązująca, uzbrojona w sankcje wykonawcze, bywała i bywa formą urzeczywistnienia zasady prawa i dopiero, gdy punkt ciężkości t. zw. prawa obowiązującego, czyli ściśle biorąc: ustawy, przesunął się w umysłach na moc jego sankcji, nastąpiło zewnętrzne przewartościowanie pojęcia prawa i ustawy. Po tym przełomie ludzkość wstąpiła na drogę usankcjonowanych bezprawi, na drogę, po której kroczy z dawien dawna: wojna!

Jak pokój jest ostoją prawa i jego wykładnikiem, tak wojna jest jego burzycielem i toruje szlaki bezprawiu. Ostatni kataklizm dziejowy druzgotał i miażdżył przez kilka lat prawo i załamał jego poczucie w sposób dotkliwy w umysłach całej ludzkości. Przeżywany dzisiaj okres dziejów jest dalszym ciągiem pochodu bezprawia, które wybuchło w 1914 r., a ujawniło się masowem unicestwianiem istnień ludzkich i dóbr, nagromadzonych przez ludzkość w żmudnych, wieloletnich wysiłkach. Gdy patrzeć na wysiłki narodów, podejmowane po podpisaniu umowy o pokoju w celu przywrócenia pokoju, to rozumieć je należy jako dążenie do przywrócenia panowania prawa. A dążenie to spotyka się z niezwalczonym dotychczas odporem czynników, stojących na drodze do zapanowania pokoju. Choć dźwięk oręża ucichł, stan umysłów wykazuje zakłócenie poczucia prawa, a ponieważ prawo jest jednym ze współczynników kultury ludzkiej, więc wbrew logice i prawdzie usiłuje się jego pogwałce-

nie uzasadnić ewolucją pojęć prawnych i tem samem obronić nowe reguły życia, obleczone w formę ustaw, nadających sankcje bezprawiu, które gwałci i podważa prawa ludzkie, prawa społeczne.

Ten posiew wojny, rodzicielki bezprawia, który przetasował w mózgach ludzkości poczucie prawa i bezprawia, który spowodował zachwianie stałej równowagi pomiędzy światłem i cieniem pojęć prawnych, wywołał lawinę ustaw powojennych, zwanych prawami, które wprawdzie często przynoszą formy urzeczywistnienia prawa, lecz niejednokrotnie dają sankcje wykonalności bezprawiu. Oto na obszarach połowy niemal Europy i wielkiej części Azji odwrócono piramidę pojęć moralnych i prawnych podstawą do góry, a w szeregu innych państw wydano tomy ustaw, popartych autorytetem większości parlamentarnych, a nawet wielu t. zw. uczonych, którzy zdecydowali się udowadniać światu, iż dwa razy dwa nie równa się czterem! Przykład Rosji, która zamiast komunizmu-wspólnoty, dała obywatelom Rosji kapitalizm państwowy i niewolnictwo państwowe, nie pouczył dotychczas ani wielu mężów stanu, ani wielu t. zw. uczonych.

Mężowie ci zapatrzeni są w czerwoną łunę na wschodzie, jak ptak w oczy napadającego go jadowitego węża. Nie mogą uwolnić się od oszałamiającej hipnozy, a co gorsza, pod jej wpływem narzucają swym krajom ustawy, które łamią prawo. I tak, jak wojna niszczy ludzkość przez łamanie prawa do życia, własności i swobody obywatelskiej, tak złamał te prawa przewrót rosyjski. Niszczące siły, toczone przez 4 lata w torach wojny, wyskoczyły w Rosji z tych torów i rozbiegły się na wszystkie strony. Teoretycy przewrotu bolszewickiego stawiają piramidę pojęć prawnych i etycznych na jej wierzchołku, a gdy piramida ta, w swej niestałej równowadze,

grozi upadkiem, podtrzymują ją bagnetami i podbudowlami obcych kapitałów. Żar, bijący z paleniska rosyjskiego, przenika do innych krajów, aż od tego żaru bije najwrażliwszym obserwatorom krew do mózgów. Stąd zamroczenie umysłów i pomieszanie pojęć prawa i bezprawia.

Pojęcie praw nabytych wywodzi się m. in. z pojęcia prawa szczególnego, któremu poddają się określone podmioty prawne. Ekwiwalentem przyjętych i wypełnianych rygorów, przewidzianych w prawie szczególnem, są uprawnienia, nazwane nabytem prawem, przyczem prawo nabyte wyraża się najczęściej w świadczeniach teraźniejszych i przyszłych. Prawo nabyte jest w każdym danym wypadku wynikiem wypełnienia rodzącej prawo szczególne umowy pomiędzy kontrahentami i może być zaprzeczone jedynie na podstawie dowodu ustania warunków, określonych przez umowę. Do takich warunków należy niewypełnienie przez stronę przyjętych na się zobowiązań. Instancja nadrzędna: sąd, określa w razie sporu, na zasadzie prawa, miarę wypełnienia umowy i ekwiwalent, względnie zakres nabytego na zasadzie wypełnionej umowy uprawnienia do świadczeń wzajemnych. Prawo, na zasadzie którego przysługują te wzajemne świadczenia, nazywamy prawem nabytem. Prawo nabyte jest prawem wyłącznem stron zainteresowanych. Prawa tego rodzaju wolno się zrzec, ale nie można samowolnie nie dopełnić zobowiązań. Dla istoty stosunku pomiędzy stronami jest obojętnem, czy stosunek umowy ma charakter prawno-prywatny, czy też prawno-publiczny. Wprawdzie w stosunku prawno-prywatnym faktyczną nierówność sił wyrównywa ucieczka do czynnika nadrzędnego, jako szafarza sankcji, zaś w stosunku prawno-publicznym jedna ze stron jest zarówno kontrahentem, jak wykonawcą prawa, jak wreszcie prawodawcą, ale w tym drugim stosunku nierówność sił równoważyła w cywilizowanych organizmach państwowych nadrzędna etyka państwowa, która nie dopuszczała ze strony państwa wprowadzenia czynnika siły do walki przeciw uprawnio-

nej jednostce. Zasadą było obustronne szanowanie istniejącego w chwili zawarcia stosunku prawa obowiązującego czyli ustawy.

Prawo obowiązujące, które regulowało stosunek, mogło być zmieniane tylko za obustronną zgodą. Zmiana zasady prawnej, jako podważenie ustalonych podstaw stosunku prawno-publicznego, nie mogła dotyczyć układów, już dawniej zawartych, gdyż układy takie stworzyły już dla stron uprawnionych prawa nabyte, a prawo nabyte, jako podstawowe, święte prawo osobiste w uporządkowanych stosunkach społecznych, jest dobrem nienaruszalnem, będącem jedynie w rozporządzeniu uprawnionego.

Wojny i rewolucje depczą takie prawa. Właściwością wojen i rewolucji jest jednak wyzwalanie pokrzywdzonych z więzów obowiązku wzajemnego szanowania prawa i dochodzenia swych krzywd wyłącznie na drodze, prawem przepisanej. Wojna i rewolucja stwarzają stan anarchji, t. j. stan, w którym każdy czuje się szafarzem sankcji, służących do urzeczywistnienia wydanego dla siebie samego prawa. O faktycznem urzeczywistnieniu swego „prawa" decyduje zatem jedynie stosunek siły. Na przykładzie rosyjskim okazuje się, jak głęboko sięgać może cynizm panowania bezprawia, które siła panującego reżimu obleka w szaty „p r a w a" (ustaw) i rzekomo w imię dobra powzechnego czyni zeń normy obowiązujące.

Niema w żadnym ustroju państwowym pełnych stu procent obywateli, którzyby wszystkie obowiązujące ustawy uważali za p r a w o s ł u s z n e. Weźmy, choćby dla przykładu, element przestępczy, który ograniczenia, wynikające z ustaw karnych, uważa za pogwałcenie swych praw. Przechodząc kolejno przez warstwy niezadowolonych z ustalonego w państwie prawnego porządku, dojdziemy i do tej warstwy, która z winy przebudowy ustroju gospodarczego należy do t. zw. „klasy" robotniczej, a która w poszukiwaniu poprawy losu daje wiarę najjaskrawszym hasłom np.: „Cudza własność jest... kradzieżą..!" Od tego

hasła do rewolucji jest bardzo daleko, lecz stan panowania bezprawia wojny jest znakomitą odskocznią dla nikłej nawet mniejszości, która takie hasła podjęła. Niema tu miejsca na wywody o narodzinach i powodzeniu rewolucji; wystarczy stwierdzić, że rewolucja narusza prawa znacznie większego grona obywateli, aniżeli ilość, która przez rewolucję dąży do poprawy swego losu. Na pozór jest to paradoks, a jednak historja wykazuje zawsze tę prawdę. Głęboko sięgający przewrót pojęć prawnych i etycznych w Rosji potęguje ów stan równowagi niestałej, a ewentualny nowy przewrót w tym kraju byłby — może tylko na pewien czas! — stworzeniem równowagi pomiędzy wrodzonemi pojęciami o prawie i bezprawiu, o dobru i złu. Oczywiście czynniki, rządzące w Rosji, nie zaniedbują niczego, by zapobiegać fermentowi, nurtującemu społeczeństwo imperjum sowieckiego, a za najradykalniejszy sposób — najzupełniej logicznie z ich punktu widzenia — uważają wywołanie wszędzie na kuli ziemskiej podobnych warunków prawnych, społecznych i gospodarczych. W konsekwentnem dążeniu do tego celu, któryby odsuwał w daleką przyszłość możliwość przebudowy ducha społecznego w Rosji, nie gardzą najdrobniejszem zwycięstwem i dlatego mają do zanotowania coraz liczniejsze zdobycze w dziedzinie rozkładu moralnego społeczeństw Europy, a także w dużej mierze i w innych częściach świata. *Dzisiaj już nawet zanika walka z przenikającym wszędzie duchem przewrotu, a czynniki oficjalne państw zagrożonych zwalczają jedynie sprawców bezpośrednich zagrożeń porządku i ładu.* Sama zaś trucizna przewrotu pojęć moralnych i prawnych sączy się bez przeszkód do mózgów coraz to szerszych mas. *Także polskie ustawodawstwo stanowi niestety bogaty materjał do studjów i rozważań na ten temat.*

Historyczne słowa Marszałka Piłsudskiego o obcych

agenturach odnosiły się właśnie do tych nieuchwytnych wpływów, których widzialne skutki zachwaściły nasz ustrój i ustawodawstwo naleciałościami ze wschodu. Odsunąwszy się na ubocze, obserwował gospodarkę elementów przewrotowych, których dominujący wpływ zaważył przy uchwalaniu konstytucji marcowej i długiego szeregu „ustaw", naruszających prawo, a zamieszczanych w „Dzienniku Ustaw", na który przemianowano dawniejszy „Dziennik Praw". W r. 1926 serce i umysł tego człowieka, opanowane coraz większą obawą i troską o przyszłość kraju, zadecydowały o czynie.

Samotnik z Sulejówka zakrzyknął: dość! Uchwyciwszy cugle zaprzęgu Rzeczypospolitej, rozpędzonej ku czerwonej przepaści upadku, ściągnął je mocno i prowadzi państwo obecnie równo i bez wstrząsów ku reformom. Ale nie narzuca tych reform, nie spełnia roli dyktatora. Stworzył parlamentowi polskiemu warunki wprowadzenia do Polski panowania prawa, aby ją na przyszłość zabezpieczyć od ponownego upadku, a s a m o b s e r w u j e i c z e k a n a w y n i k i t e j s a m o d z i e l n o ś c i, k t ó r ą p a r l a m e n t o w i i s p o ł e c z e ń s t w u p o z o s t a w i ł.

Polska także czeka na przywrócenie naruszonych praw i na zwycięstwo poczucia prawa oraz moralności społecznej.

Powiedzieliśmy wyżej, że w żadnym kraju niema stu procent obywateli, zadowolonych z panujących stosunków. W Polsce niewątpliwie przygniatająca większość posiada jednak poczucie podeptania prawa od pierwszej chwili rozbudowy ustroju niepodległego państwa i ta większość odróżnia „prawo" od „ustawy". Polska pragnie przywrócenia panowania prawa, bo wierzy, że pod jego skrzydłami zakwitnie ład, dobrobyt i zaufanie do władz, jak również wzajemne zaufanie obywateli państwa do siebie. Czy tempo, w którem parlament, wezwany do pracy przez Marszałka Piłsudskiego, zamierza odrobić dawne błędy i wpro-

wadzić oczekiwane reformy, nie jest zbyt powolne? I czy słowa, które padły niedawno z wysokiej trybuny przed uchwaleniem jednej z „ustaw“, że „niema praw nabytych“, nie stanowią złowróżbnego zgrzytu w atmosferze oczekiwania na powrót panowania prawa? Wszak nasze prawo do państwowego istnienia w tych ramach, w jakich to zostało ustalonem po ostatecznem uregulowaniu granic Rzeczypospolitej, jest prawem nabytem na zasadzie przyjętych i podpisanych traktatów. Nie pozwolimy nikomu gwałcić żadnego z naszych praw, ustalonych na zasadzie traktatów pokojowych, ale i sami w stosunku do własnych obywateli, o ile wobec pewnych ich grup przyjęliśmy traktatowe, czy ustawowe zobowiązania, musimy ich dotrzymywać, choćby to nawet przez pewien czas było bardzo ciężkie. Zaprzeczanie zaś tych zobowiązań stwierdzeniem, że niema praw nabytych i stwarzanie „ustawy“, zwalniającej z ciężarów, grozi, jak miecz obosieczny, podstawom, na których spoczywa dzisiejszy prawny status quo i może odbić się w przyszłości bardzo niepożądanym rezultatem.

A. Z.

II.

O WYSOKIM POZIOMIE.

Szanowny Panie Redaktorze! Z prawdziwem zainteresowaniem przeczytałem w ostatnim (majowym) numerze „Naszej Przyszłości“ przedewszystkiem wstępny artykuł redakcyjny p. t. „Odpowiedź krytyce“. Dał mi dużo, bardzo dużo do myślenia, zarówno pod względem zamieszczonych tam uwag o konserwatyźmie, jak i pod względem określenia istoty „wysokiego poziomu“ pisma perjodycznego, o czem traktuje druga część tego artykułu.

Siedzę na wsi, zdala od wielkiego ołtarza politycznego i literackiego. A chociaż wieś polska — wbrew twierdzeniu Kochanowskiego — nie jest dzisiaj ani spokojna, ani

wesoła, to jednak znajduję zawsze chwilę, aby coś niecoś przeczytać i trzymać się au courant tego, co się na świecie, a zwłaszcza w Warszawie, dzieje. Niekiedy nawet zdobywam się na refleksję i krytykę i urabianie sobie jakiego takiego sądu o ludziach i rzeczach — a wśród tego o naszej prasie i publicystyce, z którą stosunkowo najbliżej jeszcze się stykam, abonując różne pisma, a nawet płacąc za nie dość regularnie prenumeratę!

Otóż uderzyło mnie twierdzenie, zamieszczone w cytowanym artykule Pańskiego pisma: „Pismo stoi wówczas na najwyższym poziomie, jeżeli najlepiej i najskuteczniej spełnia wytknięte sobie cele“. Zacząłem się nad tem zastanawiać i pozwoli Pan Redaktor, że rezultat tych refleksji mu zakomunikuję.

Weźmy do ręki pierwszą lepszą gazetę codzienną, mającą pretensję do wyższego poziomu i przejrzyjmy nagłówki artykułów czy komunikatów. Zapewne, wstępny artykuł, a może jeszcze i jakiś drugi, zamieszczony na dalszych kolumnach, stara się konwulsyjnie o wyższy poziom. Ale odnoszę stale to wrażenie, że im wyższy jest stylistycznie dany artykuł, tem mniej produktywny w swych konkluzjach praktycznych. Jest to enuncjacja i nic więcej. Praktycznych dyrektyw myślenia i działania czytelnik z takiego artykułu nie otrzymuje. Otrzymuje tylko informację o tem lub owem, czasem ciekawą, czasem mniej go obchodzącą, ale rzadko tylko, niezmiernie rzadko jakąś podnietę do czynu, jakiś program w jakimkolwiek kierunku, jakąś myśl praktyczną. A przecież dzisiaj Polska cała i wszyscy jej mieszkańcy, pogrążeni w ciężkiem położeniu, potrzebują koniecznie, powiem: na gwałt, jakiegoś planu, dyrektyw, ratunku! Nie trzeba nam dziś uczoności, ale praktycznej rady, inicjatywy i podniety do zbiorowego działania w pewnych, określonych celach. A tej nasze artykuły dziennikarskie o wysokim poziomie nie dają ani nam, ani państwu, ani gospodarstwu krajowemu. Jedne wygadują na rząd, drugie gromią je za to, a inne odrywają — widocznie celo-

wo — naszą uwagę od najważniejszych, najbardziej piekących spraw i problemów krajowych, rzucając nas w objęcia jakiejś abstrakcyjnej czy pryncypialistycznej filozofji lub prawiąc długo i szeroko o różnych tematach egzotycznych, które nas w tej chwili mniej obchodzą, niż śnieg zeszłoroczny.

Ale te wstępne artykuły, to tylko jakgdyby konieczna, stereotypowa dziennikarska danina na rzecz „wysokiego poziomu". Widać wyraźnie, że ją redakcje traktują tylko ubocznie, ut aliquid scribsisse videatur. Proszę natomiast spojrzeć na resztę: Ohydna zbrodnia tam a tam — Defraudacja wybitnego bankiera — Trup w walizce — Skok z czwartego piętra — Wielki skandal w politycznym świecie francuskim — Tryumf (lub szlapa) polskiej ekipy sportowej w Detroit — Zwycięstwo mistrza piłki nożnej w Koziej Wólce (czeladnika rzeźnickiego) — Rewelacje reportera Manchester Guardian o właściwych przyczynach wojny światowej—Orgje samochodowe w stolicy i t. d.; a obok tego uczony feljeton niemniej uczonego ekonomisty na wdzięczny temat: jeżeli złoty polski za trzy miesiące nie spadnie, to się napewno utrzyma.

Oto barwny kalejdoskop, świadczący niewątpliwie o „wysokim poziomie" danego naczelnego organu jakiegoś naczelnego zespołu!

Pytam i proszę o jasną odpowiedź: Co Polska, jej rząd, jej społeczeństwo, jej gospodarstwo, jej myśl polityczna, a choćby nawet interes tego lub owego stronnictwa na takim „poziomie" zyska? Chyba in minus!

A teraz weźmy do ręki jakiś bardzo poważny perjodyk, gatunkowo ciężki, o pretensjach suwerennie wysokiego poziomu. Czytajmy tytuły: Panteistyczne problemy Spinozy — Najnowsze prądy w sztuce (na marginesie estetyki tłumu) — Problem religijny w Meksyku — Na przełomie (ach, te przełomy!) epoki kapitalistycznej — Z początkowych dziejów humanizmu — Uwagi porównawcze nad

konstytucją polską i francuską — Odkrycie nowego posągu Wenery na wyspie Delos, i t. d., i t. d.

Panie Redaktorze! Czoło chylę przed uczonymi, którzy takie rzeczy piszą i podziwiam zarówno abstrakcyjną wysokość poziomu takiego miesięcznika czy kwartalnika, jak i spokój nerwów i beztroskę tych autorów. Widocznie świetnie im się powodzi, kiedy mają czas i głowę na to, aby d z i s i a j takie rzeczy pisać. Albo widocznie chcą złożyć wymowny dowód, że Polska swoje, a nauka także swoje!

Ale są to chyba umysły z innego świata. Zapewne, zapewne, publicystyka polska powinna i takie rzeczy płodzić. Teoretyczna wiedza musi także iść naprzód i perjodyki tego rodzaju powinny u nas także egzystować.

Ale czy to naprawdę wysoki poziom? Co jest łatwiej — czy napisać jakiś ciężko uczony i naszpikowany obcemi cytatami artykulik na temat jakiegoś drobnego szczególiku teoretycznej wiedzy lub sztuki, czy też piórem swem w sposób mniej uczony, mniej abstrakcyjny, ale prosty, dla wszystkich zrozumiały, a praktyczny, dopomóc państwu i społeczeństwu w zwalczeniu choćby jednej z tych wielu ciężkich plag, które je prześladują i niszczą? Gdzie w tych dwóch wypadkach leży wyższy poziom przed sądem historji?

A zresztą, Szanowny Panie Redaktorze, co mnie i Pana i Iksa lub Ipsylona obchodzą naprawdę takie dziecinno-profesorskie szczegóły, jakie podają nasze perjodyki o pretensjach „wysokiego poziomu“, wobec twardej a tak dotkliwej rzeczywistości, wobec tysiącznych potrzeb wskrzeszonego państwa, wobec piekących problemów wewnętrznych i zewnętrznych, które gwałtownie domagają się programowego i praktycznego rozwiązania, wobec wreszcie może i burzy, nadciągającej na nas ze wschodu i zachodu? Co znaczą wobec tego wszystkiego te beztroskie pogwarki naiwnie-uczone?!

I co za ironja, czy tragikomedja sytuacji! Rząd i społeczeństwo wyczekują od myśli zachowawczej jakichś do-

brze obmyślanych, praktycznych a lapidarnych wskazań we wszystkich dziedzinach i problemach publicznych. A uczony świat zachowawczy milczy o tem „dyplomatycznie“, a natomiast podaje w swych perjodykach o „wysokim poziomie“ rozbrajające beztroską elukubracje o panteiźmie Spinozy, o poglądach estetycznych Szekspira lub o nader ważnym problemie, czy nowo znaleziona gdzieś statua bezrękiej Wenery dzierżyła w dłoni lustro, czy ręcznik do kąpieli? A uczeni ekonomiści w świetnie ułożonych prelekcjach starają nam się klarować w momencie grożącej burzy hitleryzmu, jaki jest wpływ eksportu gęsi i bekonów polskich na przyjazną wymienę handlową między Niemcami a Polską!

I to wszystko nazywa się wysokim poziomem! Wybacz, Panie Redaktorze, że ośmielam się dawać Panu wskazówki, ale oświadczam otwarcie, że gdybym takie artykuły znalazł w „Naszej Przyszłości“, to przestanę ją abonować, bo — nie mam czasu, ani głowy na takie rzeczy.

Na szczęście, widzę, że Redakcja zgadza się widocznie ze mną, bo zauważyłem oddawna, rzec mogę nawet, że od samego początku wydawnictwa, zdecydowane usiłowania „Naszej Przyszłości“ marszu naprzód z życiem, po linji zgłębiania praktycznych problemów, rozwiązywania ich, nadawania impulsu do jakiejś akcji, do walki z tem, co kłodą leży na drodze do moralnego, ustrojowego i materjalnego rozwoju państwa. Podjęliście Panowie kampanję o cały szereg konkretnych zagadnień politycznych i gospodarczych i poddajecie je opinji publicznej w sposób bardzo prosty i bardzo zdecydowany, jak tego wymaga właśnie obecna epoka.

I w tem też upatruję i ja prawdziwie wysoki poziom pisma. Taki tylko sposób pisania może przynieść państwu i idei zachowawczej rzetelny pożytek, choćby nie wszystko dało się zrealizować, o co walczycie.

Tego nam było potrzeba. I dlatego „Nasza Przyszłość“, chociaż wcale nie dąży do popularności, staje się

jednak dziwnie popularną. Krąży na wsi od dworu do dworu i w Kongresówce, czego sam jestem świadkiem i, jak słyszę, w Poznańskiem i na Pomorzu i podobno w Małopolsce, a różne artykuły świadczą o tem, że nie jest obcą i w Wileńszczyźnie. Krąży też i po miastach i w niektórych sferach przemysłowych, a wiem pozytywnie, że zaglądają do niej pilnie i w różnych dykasterjach oficjalnych.

Tylko niektórzy uczeni, bardzo ciężkiego kalibru, nie łaskawem spoglądają na nią okiem. Przypuszczam, że dlatego, iż wyłamała się śmiało z pod obowiązującego jeszcze szablonu uczonej terminologji, a zwłaszcza cytat zagranicznych autorytetów. Bo przecież taki szablon wymaga, żeby np. przy udowadnianiu, iż dwa razy dwa jest cztery, wyrazić to w bardzo skomplikowanej formie i z przytoczeniem conajmniej kilkunastu autorytetów niemieckich, francuskich, angielskich i amerykańskich, nie mówiąc już o krajowych.

I w tem pismo wasze błądzi, Panie Redaktorze. Bo nigdzie mniej, jak w Polsce, nikt nie jest prorokiem we własnym kraju i żaden naród nie potrzebuje tylu egzotycznych autorytetów, aby uzasadnić sobie swoje własne potrzeby i dążenia. Dlaczego więc, jako ludzie niewątpliwie praktyczni, nie składacie tej tak łatwej a imponującej daniny szablonowym wymogom świata uczonego? Dlaczego, pisząc o czemś, nie wpakujecie do każdego artykułu pewnej przepisanej ilości odnośników do dzieł zagranicznych? Przecież żadnej to wam trudności nie sprawi, a takiem prostem posiągnięciem kupieckiem zrobicie dobry interes. Opinja uczona w Polsce powie odrazu, że piszecie „na wysokim poziomie“.

Coprawda, ja przestanę wówczas pismo wasze abonować, bo mnie zacznie nudzić. Nie imponują mi zagraniczne autorytety, a nie mam czasu na rozkoszowanie się szkolnemi wypracowaniami o estetycznych poglądach Szekspira. Ale cóż ja jeden znaczę dla Redakcji! Wzamian za jednego skromnego abonenta pozyskacie z pewnością uznanie wiel-

kiego świata uczonego i miejsce na półkach Akademji Umiejętności.

Radzę więc Panom, jako człowiek praktyczny a życzliwy, zamiast głowienia się nad takiemi błachostkami, jak sprawy ustrojowe i gospodarcze, jak wyjście z impasu kryzysowego lub stworzenie bloku państw środkowo-wschodniej Europy, jak walka z ustawodawstwem fiskalnem i socjalnem i z oportunistyczną płynnością prawa, jak kwestja ukraińska lub kanonizacja Królowej Jadwigi i t. d. — zamieścić artykuł na tak wdzięczny a pożyteczny temat, jaki np. proponuje słynny powieściopisarz francuski (przepraszam za egzotyczną cytatę!) Edmund About w swoim „Królu gór", malując dosadnie sylwetkę ciężkiego uczonego: „Obliczenie ilości oliwy, wypalonej w lampie Demostenesa w czasie układania drugiej Filipiki".

Będzie to temat aktualny, tak ściśle związany z najbardziej piekącymi problemi dzisiejszej naszej ojczyzny i włoży na wasze skronie laur „wysokiego poziomu".

Kongresowiak.

Ze zrozumiałem zakłopotaniem zamieszczamy te może nazbyt ironiczne uwagi naszego bardzo cenionego prenumeratora. Nie posądzaliśmy go dotąd aż o taką ciętość pióra! Zamieszczamy też ten artykuł dlatego, że trzeba coś na to odpowiedzieć.

Ale co? Na razie, obserwując życie i rzeczywistość, nie jesteśmy w stanie znaleźć żadnej stosownej odpowiedzi. Może nam kto pomoże...

Pozwalamy sobie tylko na jedną uwagę, a raczej spostrzeżenie. Oto abstrakcyjne artykuły w perjodykach, chlubiących się renomą wysokiego poziomu, których przykłady cytuje Szanowny Autor, robią na nas istotnie wrażenie, jakgdyby ich autorzy bali się dotykać polskiej rzeczywistości. Zamiast np. forso-

wać odpowiednią reformę konstytucji, prawią nam o estetyce Szekspira, zamiast dotrzeć śmiało do głębi istotnych przyczyn naszego polskiego — nie światowego — kryzysu gospodarczego, opowiadają nam o wykopanym gdzieś greckim posągu. Zamiast biczem uderzyć po polskich stosunkach i stosuneczkach, odwracają skwapliwie naszą uwagę do stosunków meksykańskich, belgijskich, czy indyjskich.

To jest prawda, szczera prawda, której autorowi powyższego artykułu nie możemy zaprzeczyć. Ci uczeni i publicyści, broniący tak pojmowanego „wysokiego poziomu", czegoś widocznie się boją: czy boją się komuś narazić, czy czują niemoc rozwiązywania najważniejszych problemów państwowych? Bo nie chcemy dopuścić myśli, że ich dola wskrzeszonej ojczyzny, wszystkiem i zewsząd zagrożonej, mniej obchodzi, niż abstrakcyjne tematy z katedry.

Bądź co bądź stwierdzamy tylko niezaprzeczony fakt, że ci „wysocy poziomowcy" piszą bardzo ostrożnie i bardzo abstrakcyjnie, wybierając starannie te tylko tematy, pod którymi podpisywaćby się mógł nietylko konserwatysta, ale i każdy demokrata, ba, nieraz nawet i radykał!

A życie polskie wymaga dzisiaj innych piór i innych tematów.

Redakcja.

OBRAZ NA PIASKU.

Otrzymaliśmy następujący, bardzo oryginalny artykuł pod powyższym nagłówkiem, przesłany przez jednego z naszych czytelników, zajmującego poważne stanowisko społeczne. Szanowny autor dodaje w liście do Redakcji, że wysyła ten artykuł na va banque, gdyż powiątpiewa, czy uznamy za wskazane go zamieścić.

Wątpliwość nieuzasadniona, gdyż „Nasza Przyszłość" zamieszcza wszystko, w czem wyczuwa prawdę i co może przyczynić się w jakimkolwiek zakresie do naprawy stosunków. Gorzej zato, że szanowny autor żąda stanowczo zachowana swego incognito, gdyż bezimiennych artykułów, choćby najlepszych, ogromnie nie lubimy. Ale cóż robić, kiedy autor przy swojem się upiera, a artykuł zbyt jest osobliwy, aby w tym wypadku nożyce redaktorskie nie miały wobec tej osobliwości ustąpić!

Redakcja.

Kreślę ten obraz na piasku, aby przechodzień mógł go spostrzec i zachować w pamięci, dopóki wiatr tego szkicu nie zwieje. Bałbym się bowiem utrwalać tego obrazu na płótnie, bo zaczętoby zaraz dochodzić, kto, co i jak — no i w końcu odkrytoby występnego autora.

Zrobiłem oddawna spostrzeżenie, które każdy następny rok wymownie mi potwierdza, że mają zupełną rację ci, którzy twierdzą i piszą, iż społeczeństwo — aczkolwiek z indywidualnych jednostek złożone — jest jednak do pewnego stopnia organizmem. A w konsekwencji tego wszelkie strony i dziedziny życia tego organizmu są ze sobą ściśle związane i od siebie współzależne.

Niby to filozoja, ale w gruncie rzeczy najpraktyczniejsza praktyka, ta praktyka dnia, którą żyjemy. Bo

w dzisiejszej walce o ustrój państwa, o naprawę stosunków i o chleb codzienny ogół walczących nie zdaje sobie i nie chce zdać sobie sprawy z najoczywistszego faktu, że chcąc jakieś osiągnąć rezultaty, nie wystarcza dążyć do nich jednostronnie, po wąskiej drodze bezpośrednio fachowej w każdej danej dziedzinie, ale trzeba równocześnie uwzględnić także inne drogi, inne dziedziny.

Wymownym tego przykładem, najaktualniejszym, najcodzienniejszym i najdotkliwszym, jest dotychczasowa bezpłodność wysiłków sfer gospdarczych o naprawę swego bytu. Bezpłodność dlatego, że wszystkie te wysiłki dążą tylko po drogach fachowo-gospodarczych, negliżując z uporem obranie także dróg innych, które pozornie nie mają z życiem gospodarczem nic wspólnego, a jednak niezbędne są do osiągnięcia skutecznego rezultatu w kampanji o naprawę stosunków ekonomicznych. Sfery gospodarcze zamykają się dotąd w wąskiem kółku dyskusji i projektów gospodarczych, nie chcą zrozumieć, że bez polityki, bez zajęcia się całokształtem spraw politycznych, a nawet moralnych, walka o zdobycze gospodarcze jest w dzisiejszych warunkach więcej, niż wątpliwą.

Stąd także — i o to tutaj głównie mi chodzi — ogół nasz zdaje się dotąd jeszcze nie rozumieć tego oczywistego aksjomatu, że wszelkie normy poprawy stosunków politycznych, społecznych, gospodarczych, a nawet naukowych, są zawsze w wysokim stopniu zależne od panującej w danem społeczeństwie i w danym okresie kultury. Nie uzna tego na pierwszy rzut oka znowu zapewne praktyczny prawnik, ekonomista, polityk, rolnik, kupiec, przemysłowiec czy finansista — a jednak tak jest!

Proszę uprzejmie wyobrazić sobie np. jakąś uroczystą salę konferencyjną, w której zbiera się właśnie takie czy inne wybitne grono, aby o ważnych sprawach wyrazić swą niemniej wybitną opinję. Obrazek codzienny i tak nam swojski zarówno na tle stolicy, jak i prowincji.

Proszę tylko dobrze uważać i obserwować. Przede-

wszystkiem niemal wszyscy uczestnicy uważają sobie za jakiś punkt honoru, za gest dostojeństwa i wyższej kultury powojennej, spóźnić się o pół godziny lub nawet o godzinę, a wyjść na pół godziny lub na godzinę przed końcem, przed konkluzją zebrania i okazać w ten sposób sobie nawzajem, że się wzajemnie lekceważą, że mają inne jakieś tajemnicze „ważniejsze“ zajęcia i że ich udział w tem zebraniu jest tylko dowodem wielkiej łaski dla współuczestników i poświęcenia.

A potem proszę rzucić okiem na wygląd takiej sali, czy nawet prywatnego salonu, po zakończeniu dostojnego zebrania: prawdziwe pole bitwy! Ogarki papierosów i popiół po dywanach i fotelach, nie mówiąc już o stole; dywany, fotele i kapy posmarowane kremem z ciastek, gdyż używanie serwetek jest widocznie przeżytkiem; forniery na stole i innych meblach zmasakrowane brutalnie wyciąganemi przed siebie nogami; cała wydma okruszyn z herbatników na ziemi, która wystarczyłaby na zapełnienie owych dwunastu koszów ewengelicznych; sznury i frendzle na fotelach i kanapach poodrywane przez mówców, którzy rąk ani nóg swoich nie umieją należycie opanować.

Oto wierne zdjęcie fotograficzne uroczystej sali konferencyjnej lub salonu politycznego, do którego przeciętny śmiertelnik, the man of the street, nie ma wcale dostępu! Zdawałoby się przytem, że w tak zdemolowanej sali, czy salonie, wrzała przynajmniej jakaś zapalona dyskusja polityczna lub gospodarcza, że wśród gwałtownych zmagań opinji, nie bacząc na poziome prawidła dobrego tonu i wychowania, wykuto przynajmniej jakieś nowe „prawa człowieka“, rozstrzygnięto o losach państwa lub gospodarstwa krajowego.

Nic podobnego, dyskusja była mierna, lekceważąco-zdawkowa. Można było raczej wyczuć pewną tendencję czy obawę, aby nic stanowczego nie było postanowione. Tam więc w tej sali, czy salonie, nic w istocie pozytywnego, zdecydowanego się nie zrobiło. Tam był tylko od po-

czątku do końca — brak kultury. Brak tej kultury, która jest pierwszym i ostatnim, kardynalnym warunkiem wszelkiej naprawy jakichkolwiek stosunków.

Otóż zdaje mi się — jestem tego nawet pewny — że chcąc poprawić stosunki i podnieść życie publiczne na wyższy poziom w jakiejkolwiek dziedzinie, trzeba przedewszystkiem zacząć od poprawy samego siebie. Medice, cura te ipsum — lekarzu, ulecz samego siebie — oto najważniejsza maksyma, którą zastosować winni względem siebie ci wszyscy, którzy skarżą się tak głośno na upadek naszego życia publicznego, na klęskę stosunków powojenych, na demagogję i „antygospodarczość“ naszego ustroju. Dobrę wychowanie i wyższa kultura w życiu codziennem wpływa imperatywnie na kierunek i poziom tego wszystkiego, do czego społeczeństwo zmierza w życiu politycznem i gospodarczem. Jaka kultura — taki też i ustrój, ustawy i stosunki między ludźmi, stosunki nietylko towarzyskie, ale i handlowe. Gbur, mimo chwilowo osiągniętego tytułu czy stanowiska w życiu społecznem, będzie zawsze gburem w całej swej działalności i psychice i stąd też warunki i stosunki, przez niego w społeczeństwie wytwarzane, będą miały mimowoli, siłą rozpędu, kierunek ku dołowi, a nie ku górze.

Tragedja stosunków powojenych leży właśnie w tem, że kulturalny podział społeczeństwa ogromnie zwichrzył się i zagmatwał. Dawniej był ład i porządek pod tym względem: wiadomem było, że w takiej a takiej warstwie społecznej znajdziesz taką a taką określoną kulturę. Dzisiaj wszystko do góry nogami się wywróciło. Dzisiaj nieraz bezpieczniej jest przemawiać na jakimś wiecu ludowym, niż w niejednem dostojnem gronie. Gdy siedzisz na fotelu, jedwabiem wyścielonym, nie masz nieraz pewności, że się nie spotkasz z większym brakiem kultury, niż gdybyś siedział gdzieś na drewnianej ławie!

Bo dzisiaj tradycja i pretensje nie zawsze idą w parze z poziomem kultury.

Faktem jest, że gdy przemawiałem i prowadziłem kilkakrotnie dyskusje na zebraniach chłopskich i robotniczych, uderzała mnie tam, pomijając płytkie różnice towarzyskiego ceremoniału, wyższość głębszej kultury i wyższy poziomu dyskusji, aczkolwiek w prostych toczącej się słowach, niż na niejednej dostojnej konferencji i niż w niejednym pretensjonalnym salonie. A po wyjściu uczestników zebrania, sala, czy pokój, pozostawały czyste, jak na początku. Zebranie punktualnie zaczęło się i skończyło, mówcy w wysokich butach przemawiali bardzo grzecznie i do rzeczy, nie okazując ani referentowi, ani sobie nawzajem tego nieznośnego lekceważenia, które dzisiaj tak utrudnia poważne i skuteczne traktowanie najważniejszych spraw w sferach wyższej inteligencji, chociaż i między nimi były niewątpliwie pewne różnice społeczne i materjalne.

Tam była niewątpliwie kultura — może nie ta pretensjonalna, salonowa, wyrafinowana, ale przeciętna, zdrowa kultura ludu polskiego, która niespożytą jego siłę stanowi, o ile jej jakaś sztuczna, wywrotowa agitacja inteligencka rozmyślnie nie wypaczy.

Ale coraz rzadziej spotykamy kulturę w wyższych sferach, które niby powinny być jej strażnikiem i pionierem i dawać dobry przykład szerokim masom. Stąd płynie właśnie owo rozwydrzenie sfer niższych, poczynając od służby domowej, na które tak się skarżymy. Dlatego zapytuję wręcz, czy jest możliwą naprawa stosunków w jakiejkolwiek dziedzinie, gdy poziom kultury, nawet tej prostej, towarzyskiej kultury, obniża się w społeczeństwie z roku na rok w przyśpieszonej progresji? Czy możliwem jest uzdrowienie chorego państwa z wszelkich demagogicznych, radykalnych, wywrotowych nalotów, gdy nawet wyższe sfery społeczeństwa są kulturalnie chore?

Warto nad tem niekiedy pomyśleć...

Z ROZMYŚLAŃ NAD KRYZYSEM.

Nie mam zamiaru, ani pretensji wstępować w szranki z tymi specjalistami, którzy zajmują się całokształtem naszego kryzysu gospodarczego. Pragnę tylko z punktu widzenia obserwatora, któremu to zagadnienie nie jest oczywiście obojętne i który nad niem w swoim zakresie także zastanawiać się musi, rzucić od czasu do czasu na łamy tego pisma parę uwag, raczej dorywczych i luźnych, wchodzących w obręb obecnych zjawisk gospodarczych.

Najpierw coś niecoś o kalkulacji w produkcji, skoro tyle się o tem teraz mówi i pisze, coprawda z niewielkim dotąd rezultatem.

Dla porządku tylko powtarzam rzecz oczywistą, że o ostatecznym rezultacie produkcji, w wypadku notabene, gdy ma zbyt zapewniony, decyduje szereg czynników: koszt surowca, robocizna, ubezpieczenia, podatki, koszty handlowe i oprocentowanie kapitału, czyli — zysk.

Otóż w kraju, w którym kapitał, atakowany zewsząd ustawodawstwem raczej antygospodarczem, pracuje właściwie na podstawach hazardu i spekulacji, wśród nadmiernie rozwiniętego, a gospodarczo nie zracjonalizowanego pośrednictwa wszelkiego rodzaju, surowiec nie może być tani, choćby go było poddostatkiem. Grają w tem ważną rolę także taryfy przewozowe. Jest to nawet sprawa zasadnicza, która najżywotniej dotyka interesów każdego producenta i konsumenta surowców, łącznie z rolnictwem. Kwestja taryf kolejowych, gdzie bezpośredni, doraźny interes państwa spotyka się z żywotnym interesem gospodarstwa prywatnego, jest jednym z najważniejszych czynników, które decydują przedewszystkiem o niesłychanej wprost rozpiętości cen między surowcem a fabrykatem

i przyczyniają się w znacznej mierze do tego, że ani producent surowca, ani producent fabrykatu nie mogą przynajmniej na tyle zarobić, aby utrzymać jaką taką rentowność swych warsztatów pracy.

Trzeba więc wysunąć przedewszystkiem hasło rewizji taryf towarowych oraz ułatwienia przewozu przez rozbudowę dróg. A temu przewozowi na szosach publicznych nie mogą stawać na przeszkodzie takie świadczenia komunikacyjne, któreby, dla krótkowzrocznych zamierzeń fiskalnych, prywatny przewóz motorowy towarów wydatnie podrażały. Słowem — komunikacja towarowa wewnątrz państwa musi być tania, jeżeli wymiana handlowa nie ma być sparaliżowaną i przyczyniać się fatalnie do wzrostu kosztów produkcji.

Na marginesie przytoczę tu za „Czasem" następujący, autentyczny wypadek, jaki zdarzył się w styczniu, czy lutym b. r.

Pewien chłop chciał wybrać się kolejką wąskotorową z Kocmyrzowa do Pińczowa. Żądano od niego za tę niewielką przestrzeń trzecią klasą 6 zł. Prosił o zniżkę, której odmówiono. Poszedł więc do głowy po chłopski rozum: kupił w Kocmyrzowie konia po „kryzysowej" cenie 17 zł., pojechał na nim do Pińczowa i sprzedał go tam za 15 zł. Jazda kosztowała go 2 zł.

Czyż ten jeden drobny przykład nie mówi więcej przekonywująco o istotnym stanie gospodarstwa krajowego, niż wszelkie wywodu uczonych ekonomistów i wybinych przedstawicieli życia gospodarczego? Oto „rzeczywista rzeczywistość", do której doszliśmy pod skomplikowanymi frazesami, od których roją się konferencje, prasa i najpoważniejsze wydawnictwa, mające na celu „walkę z kryzysem"!

W kraju, gdzie niema odpowiednich i odpowiednio zorganizowanych arterji komunikacyjnych, handel współczesny musi się czuć, jak za czasów raubritterów. A tym współczesnym raubritterem jest przedsiębiorca przewozo-

wy — wraz z przedsiębiorstwami ubezpieczenia przewozu, które ściągają dodatkową jeszcze daninę, faktycznie niczem nieuzasadnioną. Bo za rzetelność przewozu odpowiadać winna kolej i przedsiębiorstwo przewozowe — zwłaszcza to ostatnie. Tymczasem ono właśnie nic nie ryzykuje, ściąga swe opłaty, a ewentualnie poszkodowanego odsyła do targów z zakładem ubezpieczeń.

Jednym z walnych błędów naszej niedawnej przeszłości było, że w okresie względnej pomyślności, choćby tylko inflacyjnej, zamiast bawić się w zakładanie setek efemerycznych banków i innych nieżywotnych przedsiębiorstw, nie rozbudowaliśmy i nie zorganizowaliśmy należycie naszej sieci komunikacyjnej.

Albo kwestja regulacji rzek, pomijając już sprawę bezpieczeństwa przed powodzią! Sprawa ta, poruszana stale jeszcze przez posłów polskich w parlamencie austrjackim, nie doczekała się realizacji w niepodległej ojczyźnie. A przecież nasz flegmatyczny, kapryśny i dziecinnie bezradny handel znalazłby w tem kapitalne ułatwienie.

Na porządku dziennym stoi obecnie kwestja rewizji kosztów handlowych i administracyjnych, obfitująca w sakramentalne i poniekąd słusznie powtarzane ataki na płace i ubezpieczenia. Otóż nie ulega wątpliwości, że, ogółem biorąc, zarządy fabryczne zjadają olbrzymie środki, które nie stoją w żadnej proporcji do wielkości i rentowności przedsiębiorstwa. Jeżeli więc wyobrazimy sobie taki moment, że doprowadzono zniżkę robocizny np. do 50 zł. miesięcznie dla robotnika wykwalifikowanego i 6 do 7 procent tej sumy odciąga się na ubezpieczenia, a pozostawiono koszta administracyjne nienaruszone, to fabryka będzie tak kosztownem przedsięwzięciem, że ceny jej produktów stać będą powyżej zdolności konsumcyjnej społeczeństwa, które przecież w znacznej większości składa się z t. zw. warstw pracujących. A nie zapominajmy, że pauperyzacja mas, to najlepszy środek nietylko do zagłodzenia tych mas, ale i za-

głodzenia kapitału oraz producenta i handlowca, którzy przez stawianie wysokich cen zostaną stopniowo izolowani od społeczeństwa i *zginą od nadmiaru dóbr i swych pretensji*.

Niwelacja więc kosztów produkcji musi być we wszystkich rubrykach równomierna. Produkcja i handel nie mogą się rozwijać w próżni, pozbawionej konsumenta. Słusznie ktoś powiedział, że dzisiaj państwo, przemysł i handel chcą na spółkę zarzynać tępym nożem kurę, od której żądają, aby im znosiła złote jaja.

A teraz parę przykładów „kalkulacji handlowej", której — przyznajemy się — nie rozumiemy wcale.

Zakłady przemysłowe „Saturn" w Zawierciu zamówiły kotły dla swej cementowni w pewnej firmie w Kopenhadze. Objekt wartości około miljona złotych. Praktycznie kalkulująca firma kopenhaska powierzyła jednak wykonanie zamówienia fabryce bydgoskiej. Rezultat: Kopenhaga — a może jeszcze ktoś — zarobił na czysto 40 procent, a fabryka bydgoska musiała się zaspokoić zyskiem 5 procent.

Tramwaje w Łodzi zakupiły pewne części metalowe w Berlinie. Berliński przedsiębiorca zagarnął sutą prowizję, a wykonanie powierzył znowu fabryce w Bydgoszczy.

Eelektrownia we Lwowie zakupiła kondensatory w Bernie czeskosłowackiem. Tamtejsza fabryka przeprowadziła ścisłą kalkulację (w której koszta transportu niemałą grały rolę) i zapewniwszy sobie odpowiednie zyski, kazała wykonać kondensatory znowu w Bydgoszczy, której wyroby w niczem nie ustępują zagranicy.

Czyż istotnie najbliższa droga do Bydgoszczy prowadzi z Zawiercia przez Kopenhagę, z Łodzi przez Berlin, a ze Lwowa przez Berno czeskosłowackie? Czyż ciągle jeszcze nasi przedsiębiorcy i inżynierowie kłaniać się będą w pas przed każdą fabryką zagraniczną, lekceważąc równorzędną produkcję krajową i pozwalając obdzierać się przez sprytnych zagraniczników na znaczne sumy!

Czyż może być coś bardziej humorystycznego i równocześnie bardziej żałosnego od powyższych kilku przykładów niezaradności naszego gospodarstwa krajowego!

Niby na pociechę można się dowiedzieć, że np. kierownictwo budowy pierwszego „drapacza chmur" w Warszawie zaoszczędziło 700.000 zł. na kosztach w porównaniu z ich preliminarzem z przed dwuch lat, kiedy projektowano rozpoczęcie robót. Ale, co to znaczy „zaoszczędziło"? To znaczy, że obecnie spadły ceny materjałów, a przedewszystkiem robocizny, nie z powodu racjonalnej kalkulacji przeprowadzonych robót, ale z powodu konjunktury rynkowej. Wszak konjunktura ta obecna pozwoliła nabyć np. na licytacji w Poznaniu samochód za 16 zł. Jeśli tak dalej pójdzie, to zniszczona zostanie niejedna fortuna.

Ale najbardziej tragikomiczny wypadek zaszedł w Wilnie.

Wiadomo, jaką pieczołowitością otacza się u nas specjalnie przemysł cukrowniczy. Jak mu służą nawet wszystkie stacje kolejowe w Polsce, gdzie z reguły „krzepi" podróżnego potężna reklama cukrownicza.

Otóż zasądzono w Wilnie niedawno kilku kupców za szmugiel cukru. Jak się okazało, cukier był szmuglowany z Rygi, ale pochodzenia polskiego, eksportowany z konieczności po dumpingowych cenach, które wyrównywać ma wyższa cena wewnętrzno-krajowa. Szmuglowany ten cukier, po odbyciu podróży z Gdańska do Rygi i przekroczeniu zpowrotem granicy z Litwy do Polski, kosztował w detalu 1 zł. za kg., gdy cukier, zakupywany wprost z polskiej cukrowni, kosztuje w sklepie 1 zł. 66 gr.

Nie mamy najmniejszej chęci zwalać winy wyłącznie na jedną stronę, ale trudno nam się powstrzymać od uwagi, że nie rokuje dobrej przyszłości taka gospodarka, która sprawia, że np. w Anglji polskim cukrem — dzięki jego taniości — mogą karmić świnie, albo, że cukier ten, odbywszy podróż 2.000 klm. zagranicą, wraca do kraju w cenie szmuglerskiej 1 zł.

Na takie paradoksy winni jednak znaleźć jakąś racjonalną odpowiedź nasi specjaliści, choćby we własnym interesie polskiego przemysłu cukrowniczego, gdyż inaczej powstanie poważna wątpliwość, czy „cukier krzepi" polską ludność, czy raczej angielskie świnie?!

Na jakich więc właśnie zasadach opiera się taka kalkulacja polskiego wytwórcy, dzięki której wszystkie zyski i korzyści idą na obcy rynek? Czy winien temu brak racjonalnego handlowego systemu, czy brak odpowiednich ludzi dla jego stosowania? Polski konsument soli, nafty, cukru i węgla ma prawo żądać wyraźnej odpowiedzi, dlaczego to w okresie katastrofalnego spadku cen i niemal generalnej nieopłacalności produkcji, jedynie właśnie wyroby skartelizowane wykazują zwyżkę cen i to nie byle jaką, bo sięgającą do 8%?

Bo jeżeli temu konsumentowi, w jego masie urzędniczej, obcinają pensję o 15, a potem o 10 procent, to staje on przed tragicznem zagadnieniem, jak ma żyć z takiej pensji, żeby nietylko nie umrzeć, ale jeszcze podtrzymać produkcję polską, co mu się wciąż wpaja jako patrjotyczny obowiązek?!

Na te rzeczy trzeba jednak dać raz nareszcie męską, jasną i logiczną odpowiedź i wskazać jakieś wyjście z sytuacji, choćby to wyjście było niejednemu niemiłem.

Produkcja polska spada rozpaczliwie po równi pochyłej. Wskaźnik jej spadł z 136,6 w 1929 r. do 65,4 w lutym 1932 r. W niektórych działach produkcji wynosi spadek blisko 80 procent, a w stosunku do innych państw przemysłowych bijemy w dziedzinie tego spadku wszystkie rekordy prawie o dwie długości.

Z tych faktów i z tej sytuacji zdać sobie należy lepiej, niż dotąd, sprawę i lepszego, niż dotąd, szukać wyjścia

A teraz, dla odmiany, coś niecoś o kredycie, który jest dzisiej więcej, niż kiedykolwiek przedtem, osią obrotu i zarazem piętą Achillesa całego życia gospodarczego.

Kredyt w Polsce — i to w jego najważniejszej postaci długoterminowego kredytu hipotecznego — został zniszczony przez bezkrytyczne moratorja, inflację i waloryzację. Wartość hipotek przedwojenych można ocenić na jakieś cztery miljardy, z czego wynika jasno, jak ogromny walor przedstawiały w życiu ekonomicznem naszego społeczeństwa, przy dobrze naogół rozwiniętych stosunkach kredytowych we wszystkich trzech zaborach. W tę olbrzymią wartość uderzyły najpierw moratorja — przypuśćmy, że w pewnym stopniu nieuniknione — ale następnie dobiły ją różne waloryzacje.

Waloryzacje te dokonały niczem nieuzasadnionego, ryczałtowego przerzucenia tej wartości w około 80% z kieszeni wierzyciela do kieszeni dłużnika i to tylko na zasadzie zbyt pośpiesznie ukutej doktryny, że dłużnicy byli w danej chwili in toto niewypłacalni. Nie wzięto pod uwagę argumentu, że wypłacalność będzie jednak w miarę czasu wzrastać i że stosownie do tego należy zwiększyć skalę waloryzacji. Zamiast progresji zastosowano jednorazowe mechaniczne przeliczenie na tle przejściowej konjunktury i w ten sposób uczyniono niczem nieusprawiedliwiony podarunek z majątku zapobiegliwego ciułacza na rzecz ryzykownego przedsiębiorcy, który np. budował dom za pieniądze w 80% pożyczone, potem spłacił je za 25 czy 15 procent i w ten sposób, na podstawie prawa Zolla, stał się właścicielem nie swojej rzeczy z 20 na 70%. Prawo hipoteczne, które było dumą i podstawą naszego gospodarstwa porozbiorowego i którego fundamenty położył ks. Lubecki, jako założyciel Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, zostało sponiewierane, a miljardowe wartości w majątku narodowym zniszczone.

Niepodobna już dzisiaj naprawić w całości tego straszliwego w swych katastrofalnych skutkach błędu, ale trzeba sobie jasno powiedzieć: mord, dokonany lekkomyślnie na kredycie długoterminowym, mści się na nas obecnie ru-

iną gospodarczą i ogromnem, powszechnem osłabieniem siły nabywczej społeczeństwa.

Dzisiaj wzywa się wprawdzie do oszczędzania, bardzo po niewczasie, ale nie robi się właściwie żadnych poważniejszych kroków w kierunku odbudowy kredytu długoterminowego, chociaż brak jego więcej daje się powszechnie odczuwać, niż wszystkie inne strony panującego kryzysu. Pożyczki z banków państwowych są to tylko paljatywy — galwanizowanie trupa. Bo istotną podstawą kredytu jest swobodny obieg pieniądza, oszczędzanego przez najszersze warstwy w formie wszelkiego rodzaju lokat. Pieniądz zaś, kredytowany przez państwo, a więc pochodzący z podatków, nie może stanowić nigdy zdrowej podstawy kredytu, gdyż nie pochodzi z oszczędności, ale zostaje uzyskany w sposób, przypominający wyciskanie cytryny. W utartej terminologji mówi się dzisiaj o t. zw. zaniku zaufania, o zaniku inicjatywy prywatnej, o potencjalnym defetyźmie, co wszystko razem jest wynikiem zniszczenia kredytu, opartego na możności oszczędzania, a natomiast oglądania się na państwo, jako jedyne źródło kredytu.

Jakże ma być inaczej, kiedy zaraz w pierwszych latach istnienia wolnej Polski demokratycznej wykazano ludziom — wbrew szumnym enuncjacjom i apelom oficjalnym — że nie jest rzeczą rozumną oszczędzać za pośrednictwem publicznych instytucji kredytowych, ale, że pończocha jest stosunkowo jeszcze najpewniejszym sposobem zabezpieczenia kapitału. Demagogiczny doktryneryzm gospodarczy zniszczył niemal do szczętu tę cenną rasę ciułaczy, która jest fundamentem każdego zdrowego, nowoczesnego organizmu gospodarczego. To też, o ile warunki, wytworzone tym radykalnym eksperymentem gospodarczym, zasadniczo się nie zmienią, pójdzie z pokolenia na pokolenie — i już idzie — ostrzegawczy szept: Nie oszczędzajcie, bo ciułacz jest owcą, przeznaczoną nietylko na strzyżenie, ale i na zarżnięcie!

I ten szept żywiołowy okaże się silniejszym od wszel-

kich apelów patrjotycznych i od wszelkich państwowych rygorów.

A chociaż uczeni ekonomiści udowadniać nam będą, że wojna zdewaluowała pieniądz, to jednak nie dowiodą nam, że musiała zdewaluować także i hipoteki. Zresztą w życiu społecznem sam dowód matematyczny nie wystarcza; grają tu rolę jeszcze ważne imponderabilja — sumienie i prawo moralne. Kto je chce zniwelować, zdewaluować, ten niszczy same podstawy społecznego życia, zaufanie i pewność egzystencji.

Wielu np. mamy jeszcze obrońców prawa własności. Ale w ich ujęciu jest to „prawo własności z zastrzeżniem". Tacy obrońcy własności stosują to prawo o tyle, o ile dogadza to ich „przekonaniom politycznym" lub interesom, ale naruszają je lub gotowi są naruszyć bez skrupułu, gdy chodzi o interesy cudze lub o doraźne zwycięstwo polityczne. Nie liczą się z tym prostym faktem, że gdy raz zrobi się wyłom w płocie, to wprawdzie mogą wleźć przezeń cudze kury, na czem można chwilowo zarobić, ale że może też przedostać się lis lub kuna, które wszystkie kury wyduszą, o ile przedtem przez tę dziurę cały drób wogóle nie uciekł!

Tak — zasada prawa własności nie może znać żadnego kompromisu!

Ten niezdrowy, samobójczy pęd lekceważenia interesu wierzycieli przyszedł do nas ze wschodu i zachodu, ale zwłaszcza z Niemiec, które — wśród cywilizowanych państw powojennych — najradykalniej załatwiły się z tą sprawą. Niemiecki „Geist, der stets verneint" uwiódł w Polsce wiele umysłów z takim skutkiem, że za błąd ów długo jeszcze przyjdzie nam pokutować...

Niżej podpisany pisał jeszcze siedem lat temu, w okresie rozkwitu nadziei i konjunktury gospodarczej, że krzywda zniszczenia wierzytelności, wówczas niedość jeszcze widoczna, zaciąży olbrzymiem brzemieniem w chwili, gdy trzeba nam będzie oprzeć się na własnym kapitale i kredycie. Nie jest piękną dziś moja mimowolna Schadenfreude,

ale jeśli to ma zwrócić uwagę kogo należy, w takim razie może będę usprawiedliwiony.

Reasumując, jeżeli ma być na serjo mowa o walce z kryzysem, o odbudowie kapitału z oszczędności i o przywróceniu zaufania, to w pierwszym rzędzie należy w jakikolwiek sposób ufundować nienaruszalne zasady hipoteki, a na początek nawet odpowiednio je uprzywilejować.

Józef Czarnecki.

AUTOKRYTYKA GOSPODARCZA.

Od czternastu lat walczy wskrzeszona Polska z kryzysem gospodarczym. Różne są jego fale, źródła i rodzaje napięcia, ale to pewna, że kryzys ten trwa nieprzerwanie od chwili wskrzeszenia państwa i z nieprzepartą mocą osłabia z roku na rok coraz bardziej materjalne podstawy naszej egzystencji.

Spierają się ekonomiści o dokładną charakterystykę poszczególnych faz tego kryzysu: czy jest głównie ogólnoświatowy, czy europejski, czy regjonalny, czy specjalnie polski, czy też wszystko razem? Co chwila wysuwa ktoś, w przemówieniu lub w broszurze, jakieś rzekomo nowoodkryte „główne“ lub „najgłówniejsze“ źródło kryzysu na świecie i w Polsce, poczynając od najogólniejszych twierdzeń walutowych, a kończąc na szczegółowej krytyce różnych dorywczych pociągnięć rządów i innych kwestjach lokalnych. Niemniej przeto kryzys pozostaje kryzysem, wzmaga się, a pogłębiająca się katastrofalna sytuacja woła coraz głośniej o środki zaradcze.

Twierdził ongiś Stańczyk, że najwięcej jest na świecie lekarzy, bo mu co drugi człowiek, spotkany na ulicy, jakiś środek na ból zębów doradzał. Dzisiaj stwierdzić można, że jest niewątpliwie najwięcej „ekonomistów“ na świecie, bo już nie co drugi, ale wprost każdy uważa się za powołanego wysuwać najróżnorodniejsze środki zaradcze na wzrastającą biedę. Tylko, że wszystkie te fachowe i niefachowe recepty dotąd jakość nie wydały rezultatu!

Czasy powojenne dziwne wykazują zjawisko: ludzie, aczkolwiek doświadczeniem aż nadto dobrze nauczeni, nie umieją jakoś dać sobie rady z tem, co im najbardziej dolega. Nie umieją tego fachowcy, nie umieją rządy państw i par-

lamenty, nie umieją sfery gospodarcze. Nie umieją — czy też może z pewnych względów obawiają się energicznie złemu zaradzić i dlatego poprostu nie chcą.

Odsuńmy na bok wszelkie, zbyt daleko sięgające horyzonty, a wpatrzmy się tylko w nasze krajowe stosunki. Chociaż bowiem uznajemy prawdę, że państwa są gospodarczo w znacznym stopniu współzależne, to jednak najbardziej obchodzi nas oczywiście to, co się w Polsce dzieje i twierdzimy, że od naprawy polskich wewnętrznych stosunków należy rozpocząć wszelką akcję walki z kryzysem. Inni twierdzą nieraz inaczej, szukają dróg wyjścia na całej kuli ziemskiej, od Ameryki po Australję, byle tylko nie dotknąć w niczem polskiego podwórka. My obstajemy przy swojem: zacząć trzeba od wewnątrz, od Polski — od jej ustroju i nastroju!

A przedewszystkiem od tego, czego chyba żadna sfera gospodarcza w Polsce dotąd nie robi, to jest — od siebie. Autokrytyka, szczera, jasna i zdecydowana, jest zawsze i wszędzie pierwszym i niezbędnym warunkiem jakiejkolwiek skutecznej poprawy losu danej jednostki, danej sfery, czy danego społeczeństwa. Pozostawiając więc bardziej kompetentnym sferom, organizacjom i czynnikom szczegółową analizę kryzysu w poszczególnych dziedzinach gospodarczych i kreślenia szczegółowych recept na dziś, czy na jutro, przynosi „Nasza Przyszłość“ niniejszem to tylko, co dać może, na co ją stać i co bez żadnej wątpliwości stanowić powinno korzystną nowość w dotychczasowem traktowaniu sprawy kryzysu: metodę autokrytyki — metodę rachunku sumienia.

Wychodzimy w tem z założenia, że człowiek, który chce skutecznie o coś walczyć, pokonywać przeciwności i mieć całą rację i moc argumentu za sobą, musi wobec tych przeciwności, czy przeciwników, stanąć odpowiednio zorganizowany, zreformowany, oczyszczony. Musi mieć możność rzucenia w twarz tym przeciwnikom własnego przeświadczenia: Patrzcie, ja sam zrobiłem już wszystko,

co do mnie należy, oczyściłem się z błędów, dostosowałem się do warunków, a teraz mam prawo żądać od was tego, co dla mojej egzystencji jest niezbędne!

Tego dotąd nasze sfery gospodarcze, w najszerszem tego słowa znaczeniu, nie zrobiły. Przeciwnie, unikają w jakiemś dziwnem zaślepieniu tej zdrowej a niezbędnej autokrytyki, uważając ją fałszywie jako niekorzystną dla siebie i dlatego nie są jeszcze zdolne zaradzić złemu, ani wystąpić skutecznie z całą mocą argumentu i przekonania wobec wszelkich przeciwności. I w tem właśnie leżny najsłabsza ich strona i dlatego nasz polski, specyficzny kryzys tak beznadziejnie przedłuża się i pogłębia.

A przecież metoda trzeźwej, odważnej autokrytyki nie jest wcale naszym, nowym wynalazkiem, ale zastosowana już raz przed pół wieku z górą, przyniosła Polsce wiele, bardzo wiele dobrego.

Oto, gdy po ostatniem powstaniu ogarnęła społeczeństwo polskie rozpacz i apatja, wzmagana beznadziejnością ówczesnej koncepcji poetycko-filozoficznej, że Polska uległa sile wyższej, że za cudze cierpi winy, że jest niewinną ofiarą, odkupicielem narodów i dlatego krainą mogił i krzyżów, świętością, pogrzebaną raz na zawsze — wówczas garstka rozumnych a odważnych ludzi, skupionych w Krakowie, wystąpiła śmiało z twierdzeniem, że tak nie jest, że Polska nie siłą wyższą, ale własną upadła anarchją i że podniesie się z tego upadku, jeżeli zrobi rachunek sumienia, z ducha anarchji się wyleczy i odpowiednio się pod każdym względem zorganizuje.

Krzyk oburzenia rozległ się w całem społeczeństwie, apatycznem, zbolałem, skazanem przez romantyków na głuchą rozpacz, międzynarodową żebraninę i beznadziejną a fantastyczną misję odkupicielską. Wszystkie możliwe gromy rzucono na ludzi, którzy ośmielili się „podeptać świętości narodowe", ośmielili się zdemaskować winę polskiej anarchji. Nadewszystko zaś zarzucano tej metodzie

krytycznej, że analizując błędy narodu zbyt trzeźwym skalpelem, propaguje defetystyczne idee.

A jednak metoda ta okazała się w ciężkiem ówczesnem położeniu jedynie słuszną i zbawienną: natchnęła naród podświadomym optymizmem i pchnęła go do pracy organizacyjnej na wszelkich polach. Podupadła, wyczerpana i poszarpana Polska zaczęła zwolna zmartwychwstawać, wzmacniać się ideowo i materjalnie tak, że gdy przyszła chwila wyzwolenia, potrafiła odrazu zorganizować się w państwo i państwo to utrzymać i obronić.

Rzecz zresztą zupełnie jasna dla każdego, logicznie myślącego człowieka. Jeżeli bowiem wmówię w kogoś, że bez własnej winy pokonany został siłą wyższą, jakiemś fatalistycznem przeznaczeniem, to wówczas położenie przedstawi się temu człowiekowi jako istotnie beznadziejne. A przeciwnie, jeśli powiem mu, że przyczyną jego upadku są przedewszystkiem własne jego błędy, które inni tylko wykorzystali, to wywołam w umyśle jego mimowolny wniosek, że może dźwignąć się z upadku, o ile zechce przyznać się szczerze do swych błędów i z nich się poprawić.

Metoda więc stara, jak świat, oczywista, a w historji naszej porozbiorowej z wielką korzyścią i na dużą skalę raz już zastosowana.

Tę samą więc metodę autokrytyki, jako niezbędnej podstawy do wyjścia z każdego ciężkiego położenia, pragniemy dzisiaj zalecić polskim sferom gospodarczym — od rolnictwa do rzemiosła — jeżeli chcą wogóle uchronić się na serjo przed coraz większą ruiną i stworzyć sobie jakiś twardy grunt pod nogami dla nowego startu. Innej drogi, otwarcie mówiąc, nie widzimy, a dotychczasowy system dorywczych, nieraz bezskutecznych starań i zabiegów, system, który nazwaliśmy w tem piśmie niejednokrotnie metodą „karetki pogotowia ratunkowego", uważamy za nierealny i bezskuteczny.

Rozumiemy doskonale, że wysuwając taką metodę i propagując ją w społeczeństwie, a zwłaszcza w sferach

gospodarczych, narażamy się na wielkie ich niezadowolenie. Będą nas uważały za wrogów, a conajmniej za wielce „nietaktownych“, chociaż „Nasza Przyszłość“ stoi na gruncie zachowawczym — i to bardziej stanowczo, niż wielu z pośród dziesiejszych zachowawców — i broni śmiało prawa własności i t. zw. prawa do zarobku nietylko wobec czynników radykalnych, ale i wobec różnych oportunistycznych i defetystycznych sfer większego stanu posiadania, które, zastraszone różnemi hasłami radykalnego postępu, okazują oddawna zbyt wielką uległość wobec demagogji.

Chociaż więc bronimy z otwartą przyłbicą stanu większego posiadania i naturalnych praw kapitału, to jednak sądzę, że sfery gospodarcze przyjmą poddawaną przez nas metodę autokrytyki i rachunku sumienia bardzo niechętnie. Bo wieloletnie doświadczenie praktyczne wykazuje mi, że sfery gospodarcze niezmiernie chciwe są na pochlebstwo. Lubią nadmiernie, gdy im ktoś prawi komplementa, gdy się nad ich losem użala, gdy całą winę położenia zwala na barki ojczyzny, rządu, społeczeństwa, konjunktury i świata całego, byle tylko one wychodziły z tej analizy czyste, białe jak śnieg, niewinne, w aureoli męczeństwa i poświęcenia.

Tego chcą przemysłowcy, ziemianie i handlowcy — zwłaszcza ci ostatni. Bo jeszcze spokojniej przyjmą czasem jakąś krytykę rolnicy, wyjątkowo także i przemysłowcy, natomiast przedstawiciele handlu nie dopuszczają z reguły najmniejszej krytycznej uwagi. Cały świat winien jest, że handel polski źle stoi, tylko nie sami przedstawiciele handlu!

Zdarzyło sie na tem tle przed laty pewnemu ekonomiście, z długoletnią praktyka gospodarcza, zabawne — a właściwie bardzo smutne — zdarzenie.

Pewna poważna organizacja handlowa zaprosiła go do wygłoszenia serji odczytów o ówczesnej sytuacji gospodarczej. Pierwsze trzy bardzo dobrze były przyjęte, wywiązywała się nawet na ich tle interesująca dyskusja. W tych odczytach była mowa o polityce gospodarczej rządu, o rol-

nictwie i przemyśle, które prelegent poddawał z konieczności nieraz dość ostrej krytyce. To wszystko uchodziło w tem gronie słuchaczy, było nawet dobrze widziane i w dyskusjach potwierdzane.

Ale w następnym odczycie wypadło wreszcie mówić i o handlu. Przedstawiając więc najpierw trudności, z któremi handel w Polsce walczyć musi, ośmielił się prelegent jednak także i na pewną delikatną krytykę różnych metod handlowych. A wówczas ponura atmosfera zapanowała na sali, a po skończeniu wykładu trwało dalej ponure milczenie — żadnej dyskusji, żadnego oklasku...

Wobec tego, w ostatnim odczycie, który miał zreasumować całokształt wykładów, postanowił prelegent zrobić eksperyment, czy jego bardzo wybitni i poważni słuchacze ze sfer handlowych wytrzymają próbę bezkrytycznego pochlebstwa? Zamiast więc postawić jakieś konkretne konkluzje, jak to na ostatnim odczycie wypadło, wyśpiewał formalny pean pochwalny na cześć i na pomyślność polskiego handlu, budząc z grobu ś. p. Wierzynka i przesadzając swe własne przekonania o „historycznej roli", szczęściu i pomyślności „twórczego" handlu polskiego.

Burza oklasków nagrodziła ten eksperyment, słuchacze cisnęli się do trybuny, aby ściskać ręce prelegenta z zachwytem i wdzięcznością. Ale wśród rozpromienionych dokoła twarzy tylko twarz prelegenta nie promieniała wcale, gdyż musiał sobie powiedzieć, *że warstwie społeczno-gospodarczej, która nagradza bezkrytycznie tak grube pochlebstwo, a niedostępna jest dla słów prawdy i krytyki, nawet życzliwej, nic pomóc nie można!*

A przecież dla bezstronnego obserwatora stosunków najmniejszej nie może ulegać wątpliwości, że tak ciężki, długotrwały i pogłębiający się wciąż kryzys gospodarczy w kraju powodowany jest z jednej strony przyczynami zewnątrznemi i rujnującem, demagogicznem ustawodaw-

stwem, ale z drugiej strony także ciężkimi błędami samych sfer gospadarczych: oportunistycznem życiem z dnia na dzień, bez planu i myśli o jutrze, bezkrytyczną, krótkoterminową zachłannością zarobkową i niedostosowaniem się do aktualnych warunków gospodarczych.

Stąd też, zdaniem mojem, dopóki podobne nastawienie wśród sfer gospodarczych panuje, a zwłaszcza wśród sfer handlowych, niemasz możności ruszenia z miejsca na serjo z jakąkolwiek skuteczną akcją poprawy położenia gospodarczego w państwie. Stąd również wynikają dwa kardynalne błędy, które muszą coraz dotkliwiej ciążyć na losach państwa i gospodarstwa prywatnego, paraliżując wszelki zamierzenia wyjścia z impasu.

Po pierwsze, życie gospodarcze, zarówno produkcja, jak i organizacja zbytu, trwając z uporem w normach i pretensjach przedwojennych, a negliżując obecną rzeczywistość, staje się czemś anachronicznem, niedostosowanem do istotnych potrzeb społeczeństwa, a więc niejako celem samym w sobie, a przez to jakgdyby pasorzytującą naroślą na organiźmie społecznym i ciężarem. Wszak produkcja i handel o tyle tylko mają rację bytu i zdrowe podstawy, o ile są społeczeństwu potrzebne, o ile odpowiadają sile konsumcyjnej tego społeczeństwa i możliwościom korzystnego, zyskownego eksportu. Wszelkie sztuczne podtrzymywanie warsztatów produkcji i placówek handlowych jest nierealne, dla społeczeństwa i państwa szkodliwe i prędzej czy później musi skończyć się śmiercią tych placówek i warsztatów. Ale tej oczywistej prawdy nie chcą uznać sfery gospodarcze i zamiast zdobyć się na odpowiednią reorganizację, ciążą na państwie i społeczeństwie w sposób nieproduktywny i rujnujący, co je same także nie uchroni od upadku.

Powtóre, ta tendencja anachroniczna sfer gospodarczych utrzymania się za wszelką cenę przy dawnym stanie posiadania i dawnym systemie gospodarki wywołuje u nich coraz większy rozpęd po linji najmniejszego oporu, a więc

oddania się w ręce państwa drogą coraz większej ingerencji rządowej, przymusowych zarządów i niemniej przymusowych karteli. Wynika stąd w naturalnej konsekwencji coraz większa ingerencja państwa w prywatne życie gospodarcze, zwalczana niby przez sfery gospodarcze jako etatyzm, wrogi inicjatywie prywatnej. Ale ten etatyzm wywołują — wprost żądają go — właśnie same sfery gospodarcze, gdyż rząd, licząc się z koniecznością restrykcji budżetowych, chciałby uwolnić się od tej wymaganej od niego, kosztownej ingerencji i opieki. Nieprawdą jest, jakoby etatyzm szedł dzisiaj jeszcze z góry. Tak było kilka lat temu i dawno się już skończyło. Dzisiaj prąd etatyzujący wychodzi z dołu, z łona samych sfer gospodarczych. Życie gospodarcze oparło się u nas obecnie na podstawach, nawskroś niezdrowych i samobójczych: na finansowaniu przez rząd (a więc pośrednio przez ubożejące coraz więcej zastępy podatników), na premjowanym przez państwo eksporcie deficytowym oraz na — wekslach sowieckich, których żaden bank już żyrować nie chce. Każdy nieuprzedzony, trzeźwo myślący człowiek przyznać musi, że taki system gospodarczy prowadzi w nieuchronnej konsekwencji do ruiny, a równocześnie otwiera na oścież wrota socjalizacji.

Dlatego, jeżeli hasło walki z kryzysem nie ma być czczym frazesem, którym różne czynniki gospodarcze chcą pokryć swą istotną tendencję dalszego utrzymywania status quo gospodarki prywatnej, to trzeba przedewszystkiem — pomijając dorywcze szczegóły — wysunąć na czoło w tej akcji przeciwkryzysowej zasadę bezwzględnej autokrytyki i rachunku sumienia. Bez tego, pozwalam sobie przepowiedzieć, ani o krok naprzód z miejsca nie ruszymy, pogłębiając coraz beznadziejniej położenie. Na nic wszelka uczona literatura i prasa ekonomiczna, na nic wszelkie konferencje i rezolucje w naczelnych organizacjach gospodarczych, na nic wszelkie wysiłki samorządu gospodarczego, na nic pomoc rządu, na nic nawet dorywcze pożyczki zagraniczne lub niemniej efemeryczne zdobycze eksportowe,

jeżeli do całego systemu naszej gospodarki nie zostanie przyłożona twarda, objektywna autokrytyka. I na tę autokrytykę muszą zdobyć się wreszcie miarodajne czynniki w prywatnych sferach gospodarczych, czy im to miło, czy niemiło! Innego sposobu i ratunku niema!

A przytem muszą na serjo pomyśleć o tem, aby gospodarstwo prywatne pomogło samemu sobie bez uciekania się do pomocy rządu. Wszak w ten sposób zwiększa tylko ciężar świadczeń publicznych, rujnując zarówno sfery gospodarcze, jak i konsumenta, bo jasnem jest, że za każde sztuczne podtrzymywanie ze skarbu państwa gospodarczego lub handlowego trupa płacić musi nieproduktywnie zarówno produkcja, jak handel i konsumcja. Im więcej anachronicznych, nieżywotnych warsztatów pracy utrzymuje państwo przy życiu, tem bardziej ubożeje społeczeństwo, tem bardziej słabnie jego siła nabywcza, a sprawa bezrobocia schodzi na coraz beznadziejniejsze tory. Wobec tego stawiamy tezę: *Życie gospodarcze jest u nas w obecnych warunkach nazbyt rozwinięte w stosunku do istniejących potrzeb wewnętrznych i możliwości eksportu. Trzeba je odpowiednio zredukować, zreorganizować i zmodernizować, a przedewszystkiem dostosować do żelaznego prawa podaży i popytu, na które napróżno zamykają oczy dzisiejsi nasi rolnicy, przemysłowcy i kupcy.*

A przedewszystkiem gospodarka ta jest pod niejednym względem wielce niedołężna i luksusowa. Weźmy dla ilustracji choćby jeden typowy przykład:

Kraj cały pokryty jest siecią związków i syndykatów rolniczych, które — między innemi — mają za zadanie wspomagać rozwój rolnictwa także i zapomocą odpowiedniej organizacji handlu. Jakże wygląda w praktyce to organizacja? Otóż w jednem województwie, które w danym roku wyprodukowało różne płody w nadmiarze, marnują

się one bezskutecznie, doprowadzając producentów do rozpaczy, gospodarstwa do ruiny i działając na absurdalną zniżkę cen, znacznie poniżej kosztów produkcji, w całym kraju. A w innych województwach panuje głód na te same produkty, wobec czego, na wołanie lokalnych czynników, rząd otwiera granice dla cudzego importu. Na myśl nie przyjdzie sferom handlowym działać wyrównawczo w takich warunkach, zakupić tanio w jednem miejscu, sprzedać z zyskiem w drugiem, wywołać popyt i umiarkowane, rentowne zaspokojenie podaży. Zamiast tego ułatwiają organizacje handlowe coraz większe zadłużanie się rolnictwa na nadmiernie intensywną gospodarkę, reklamując nawozy sztuczne, najnowsze maszyny i t. d., które w dziesiejszych warunkach przewyższają znacznie rentowność gospodarstwa wiejskiego.

I takich przykładów możnaby wyliczyć wiele. A potem lamentują wszyscy nad kryzysem, nad upadkiem produkcji i handlu i otwierają na oścież wrota interwencji państwowej wraz ze wszystkiemi jej progresywnemi konsekwencjami. A w rzeczywistości nasze sfery gospodarcze poprostu nie umieją sobie same poradzić. Czepiły się rządu za połę i nie umieją, czy nie chcą, od niej się odczepić. Widocznie wygodniej im bankrutować, bo to nie wymaga myślenia, niż wysilić się — każdy zawód w swoim zakresie — na jakąś racjonalną linję reorganizacji i wyjścia z impasu.

Zastanówmy się na serjo — nie po akademicku! — nad istotnemi przyczynami polskiego kryzysu gospodarczego, t. j. temi, które wpływ kryzysu światowego w naszem państwie dotkliwie, a niepotrzebnie pogłębiają.

1) Zbyt mały trezor w złocie, jak na państwo 32-miljonowe, co powoduje kilkakrotnie mniejszy obieg banknotów w kraju, niż powinien istnieć, wywołując coraz szybszy, coraz nieproduktywniejszy obrót tych banknotów z kieszeni prywatnej do rządowej i zpowrotem. Normalne stosunki gospodarcze wymagają, aby obrót ten odbywał się mniejwięcej w przeciągu roku, gdy tymczasem odbywa

się on w tempie trzy lub czterokrotnie szybszem. Z tego wynika, że państwu takiemu, jakiem jest Polska, potrzeba trzy do czterokrotnie większej ilości banknotów w obiegu i odpowiednio więszego trezoru złota w banku emisyjnym.

Oto główna praktyczna przyczyna naszego, specyficznie polskiego kryzysu. Jesteśmy pod tym względem jednem z najbiedniejszych państw na świecie i z tego dokładnie trzeba sobie zdać sprawę. Wszak np. Szwajcarja posiada w tej chwili 70 razy więcej złota na głowę mieszkańca, więc z tak olbrzymiej różnicy muszą wynikać dla nas odpowiednie skutki. W porównaniu z wielu innemi państwami stosunek ten jest mniejszy, ale nawet znacznie mniej od Szwajcarji zasobne kraje przewyższają nas złotem i obiegiem banknotów.

Ale tej przyczynie kryzysu niepodobna rychło zaradzić. Wzrost bowiem trezoru narodowego i w konsekwencji obiegu banknotów jest dłuższą sprawą, zależy od dłuższego szeregu lat z czynnym bilansem handlowym i płatniczym. Dlatego tę kwestję musimy usunąć na razie z porządku dziennego naszych rozważań.

2) Cały ustrój państwowy i nastrój w szerokich masach — bezkrytycznie antygospodarczy — wyrosły i rozkrzewiony na doktrynach radykalnych i rewolucyjnych, rozpropagowanych na całym świecie przez „zwycięską w wojnie światowej demokrację“, a przejęty skwapliwie przez młodziutką polską republikę „ludową“ i spotęgowany u nas do absurdu prawdziwie małpiem naśladownictwem i doktrynerską przesadą. Ogólna tendencja wszystkich ustaw fiskalnych i socjalnych, oraz wszystkich niemal norm, taktyki i zwyczajów wykonawczych, jak również całe nastawienie szerokich sfer społeczeństwa, są po dziś dzień, mimo wielu poprawek z lat ostatnich, w istocie swej nawskroś antygospodarcze, pauperyzujące, proletaryzujące. Cały duch obecnego ustroju gospodarczego Polski, mimo wszelkich haseł wyścigu pracy i podniesienia dobrobytu, ma wyraźne tendencje, wspólne wszystkim demokracjom radykalnym:

obniżenia stanu materjalnego wszystkich warstw społecznych do poziomu najniższego w danym okresie proletarjatu. Każdy zarobek, przewyższający stopę życia tego proletarjatu, jest w gruncie rzeczy niechętnie widziany, a każdy większy zarobek lub większy stan posiadania jest uważany — przynajmniej podświadomie — za tendencję antypaństwową, antyproletarjacką i dlatego jest dosłownie „prawem ścigany“. Cała legislatura fiskalna, cały system ubezpieczeń społecznych, obfitujący w różne tragikomiczne momenty, wszelkie ciężary, nakładane przez rządy i samorządy na gospodarstwo prywatne, są od czternastu lat tak wybitnym tego dowodem, że w tem piśmie analizować tego chyba już nie potrzeba. Jest to jakgdyby planowe, uparte, zaciekłe duszenie gospodarstwa i pracy obywatelskiej za gardło, aż do skutku, aż poza granice możliwości, a przez to i podcinanie państwu i mnożącym się rzeszom bezrobotnych źródeł dochodu.

Emocjonalne, rewolucyjno-romantyczne hasła uszczęśliwienia i wyzwolenia społeczeństwa, głoszone przez demokrację od stu kilkudziesięciu lat, przemieniły się w ohydną, rujnującą wszystkich karykaturę. A nonses tego ustroju i nastroju, któremu przyklaskują jedni, a biernie poddają się drudzy, tkwi w maksymie: Jeżeli ktoś w państwie, zbiegiem okoliczności lub z własnej winy, jest żebrakiem, to wszyscy inni powinni się także w żebraków zamienić.

Oto główny sens i kierunek dotychczasowego ustroju Polski.

Tej maksymie i wszystkim jej konsekwencjom w ustawodawstwie i organizacji życia gospodarczego trzeba raz nareszcie zdecydowanie się przeciwstawić, ale nie dorywczo, lamentując i trzymając się rządu za poły, lecz zapomocą planowej, systematycznej, a bardzo zdecydowanej walki, z której wszelki małoduszny kompromis musi być wykluczony. Musi być dlatego, że chodzi o walkę z absurdem, z rujnującą, nielogiczną doktryną. A z taką doktryną dyskutować niepodobna, lecz z korzenim trzeba ją wyplenić. Mu-

szą wszystkie sfery społeczeństwa wszelkich warstw i zawodów, zdolne jeszcze do jakiegokolwiek logicznego myślenia, wypowiedzieć nieubłaganą walkę państwu dla dobra państwa; muszą doprowadzić do zniszczenia lub gruntownej reorganizacji całego ustawodawstwa gospodarczego i społecznego, które w dotychczasowej formie położyło się nieprzebytą kłodą na drodze do wszelkiego racjonalnego rozwoju gospodarstwa krajowego. Twierdzimy stanowczo i nie poraz pierwszy w tem piśmie, że dopóki dotychczasowy ustrój i nastrój gospodarczy zasadniczo się nie zmieni, to wszelkie wysiłki sfer gospodarczych w walce z kryzysem, wszelka pomoc rządu, wszelka nawet pomoc zagranicznego kapitału nic nie pomogą, gdyż wszystko to topić się będzie w studni bez dna. Jeżeli bowiem ktoś nie chce pieniędzy lub wyrzuca je za okno w celach doktrynersko-demagogicznych, temu oczywiście żadna pomoc, żadne pożyczki nie pomogą. Polska zaś dotąd nie chce wcale pieniędzy. Ona chce demokracji i dlatego ma demokrację, ale oczywiście nie ma pieniędzy i w coraz głębszy pogrąża się kryzys, z którego — rebus sic stantibus — niepodobna znaleźć wyjścia.

Mamy więc hasło walki z kryzysem, mamy oszczędności, mamy konferencje i świetnych referentów i akcję różnych „wybitnych przedstawicieli życia gospodarczego", mamy coraz częstsze, żywo w gazetach komentowane przemówienia różnych dygnitarzy — ale to wszystko na nic, gdyż Polska woli demokrację polityczną od demokratycznego, t. j. powszechnego dobrobytu.

Dlatego trzeba porzucić konferencje, porzucić świetne referaty i znakomite enuncjacje horoskopowe, z których nic się sprawdzić nie może, a natomiast uderzyć śmiało w punkty pozornie największego oporu: w ustawodawstwo fiskalne i socjalne i wytworzyć w społeczeństwie nastrój, że zarabianie jest czynem patrjotycznym i że wychodzi na korzyść warstw uboższych, a nie przeciwnie. Mówię: pozornie, bo społeczeństwo jest tak już przemęczone i zniechęco-

ne dobrodziejstwami społecznemi i nadmierną supremacją państwa, że zgodzi się łatwo na najśmielsze reformy, a rząd również w dobrze zrozumianym interesie państwa i własnym. Dopóki tego nie przeprowadzimy, dopóty uważać będę wszelkie wysiłki sfer gospodarczych i wszelkie najuczeńsze rozprawy ekonomiczne za czas stracony i pracę daremną.

W związku z tem zastanowić się także należy nad sprawą samorządu, zwłaszcza samorządu terytorjalnego. Dopóki naród polski sam się rządzić nie mógł, będąc w niewoli, dopóty każda instytucja samorządowa była wielką dla niego zdobyczą. Ale dzisiaj, kiedy naród w niepodległem państwie sam się rządzi, na co mu jeszcze specjalnego samorządu? Koszt olbrzymi, gospodarka samorządowa zbyt często fatalna, pole dla anarchji i jałowych walk partyjnych bez porównania tam większe, niż w jakiejkolwiek instytucji państwowej, a biurokracja także bez porównania większa! A zresztą, czemże się różni dzisiaj urzędnik samorządowy od państwowego z patrjotycznego punktu widzenia? Oczywiście niczem, a porównanie wydajności pracy i kosztów różnych instytucji samorządowych z państwowemi wypada stanowczo na korzyść urzędów państwowych.

Poco więc zwiększać koszta i podatki i utrzymywać podwójną dykasterję władz? Mojem zdaniem, nie ma to dzisiaj żadnego sensu i jest przeciwne wszelkim głoszonym zasadom oszczędnościowym. Znieśmy samorządy, a ulżymy społeczeństwu zbędnego ciężaru i wzbogacimy państwo znaczną kwotą oszczędzoną.

Ale chcąc odnieść stopniowo zwycięstwo w walce z tem wszystkiem, co dzisiaj z zewnątrz życiu gospodarczemu zagraża, musi prywatne życie gospodarcze — podkreślamy to raz jeszcze — stanąć oczyszczone i zreorganizowane wobec rządu i społeczeństwa i *wylegitymować się naprawą błędów własnych* i wyraźnym własnym programem. A program ten nie leży bynajmniej w drobnych szczegółach, o jakich lubują się dyskuto-

wać przedstawiciele rolnictwa, przemysłu, handlu, czy finansów. Leży nietyle w t. zw. „konkretnych“ tematach, poruszanych przez „świetnych i wybitnych“ mówców na niemniej „świetnych i wybitnych“ zebraniach — ale w ustaleniu pewnych zasad i kierunków ogólnych. Stwierdzam, że cierpimy na nadmiar szczegółowej dyskusji i szczegółowej literatury ekonomicznej, nadmiar, który zaciemnia czytelnikom i słuchaczom tego wszystkiego głębszy pogląd na sprawy. Brak natomiast dotkliwy zasadniczych wytycznych i o nich to właśnie dzisiaj przedewszystkiem trzeba mówić i pisać.

Otóż wspomniane wyżej oczyszczenie i reorganizacja życia gospodarczego dotknąć musi trzech najważniejszych dziedzin, gdzie dotąd nawet najżyczliwsza ingerencja była w sferach gospodarczych niezmiernie utrudniona i źle przez nie widziana. A jednak zdecydowana, planowa reforma jest tu niezbędną, pod groźbą coraz większego pogarszania się sytuacji i reformę tę — w jakikolwiek sposób — muszą przeprowadzić sfery gospodarcze z własnej inicjatywy, z własnego przekonania i własną mocą, gdyż w tym zakresie nikt im dopomóc nie może.

1) Ponieważ dawne rynki zbytu wewnętrznego w państwach zaborczych i eksportu do innych krajów, zwłaszcza egzotycznych, skurczyły się obecnie znacznie dla polskiej produkcji i kurczyć się będą coraz więcej wskutek realizowanego wszędzie hasła samowystarczalności gospodarczej państw, dlatego jest rzeczą oczywistą, bezsporną, której napróżno sfery zainteresowane próbowałyby się przeciwstawić, że mianowicie cały szereg gałęzi produkcji, a ściśle mówiąc poszczególnych warsztatów pracy w tych gałęziach produkcji, jest na dzisiejsze warunki i potrzeby zanadto rozbudowany i stąd w znacznym stopniu nieżywotny.

Wszelkie więc sztuczne podtrzymywanie tych nadmiernie rozbudowanych lub zbyt licznych warsztatów produkcji od upadku ich nie uchroni, a przez beznadziejne prolongowanie ich anachronicznego bytu i widocznej agonji ob-

ciąża nieproduktywnie skarb państwa i możność płatniczą społeczeństwa. Przedsiębiorstwo wówczas tylko ma rację bytu, daje społeczeństwu korzyść i rokuje widoki zysku, jeżeli odpowiada istotnym potrzebom konsumcji w każdym danym okresie. Gdy warunki się zmienią, gdy przedsiębiorstwo okaże się zbyt wielkiem lub niepotrzebnem, to staje się naroślą, pasorzytem i prędzej czy później zginąć musi.

Tej prawdy żaden przedsiębiorca nie powinien samemu sobie i społeczeństwu zasłaniać, ale — dostosowując się rozsądnie i zawczasu do obserwowanej zmiany warunków — zwinąć lub zmniejszyć przedsiębiorstwo, albo też przeorganizować je tak, zwłaszcza pod względem jakościowym, aby odpowiadało znowu istotnym potrzebom i możliwościom konsumcyjnym.

A więc np. fabryka, która dawniej rozbudowana była szeroko na masowy zbyt taniego towaru, musi dzisiaj zredukować się znacznie ilościowo, a natomiast podnieść znacznie jakość swej produkcji. Wiadomą jest rzeczą, że w ciężkich czasach ludzie ograniczają ilościowo swe potrzeby, ale starają się kupić towar droższy i lepszy, aby im na dłużej starczył. Pierwszorządny towar, w ograniczonej ilości produkowany, znajdzie nadto zawsze nabywców zagranicą, nawet wtedy, gdy masowy eksport pośledniejszego towaru się kurczy. Ale, rzecz oczywista, taką reformę przeprowadzać musi każdy producent przemysłowy i rolny z a w c z a s u, w mądrem przewidywaniu choćby bliższej przyszłości, a nie dopiero na gwałt, pod przymusem, w oblicznu grożącego bankructwa. Na tem właśnie polega zmysł kupiecki każdego przedsiębiorcy. Kto tego zmysłu nie posiada, ten nie jest prawdziwym przedsiębiorcą, choćby stał na czele największego warsztatu i posiadał największą rutynę w szczegółach swego zawodu.

Dlatego twierdzę, że ludzie, którzy wymawiają się dzisiaj nieświadomością tego, co może nastąpić, noszą tylko zewnętrzną firmę przedsiębiorców, ale w rzeczywistości nimi nie są. Bo co jest wart kupiec czy przemysłowiec, który

nie jest w stanie zdać sobie sprawy z prawdopodobnej ewolucji stosunków i pcha swoje przedsiębiorstwo na niepewne flukta eksperymentu i dojutrkowania? Otóż — ogółem biorąc — nasze sfery gospodarcze nie chcą słyszeć o żadnej reformie i „zjednoczony front gospodarczy“ powstaje odrazu przeciw każdemu, kto ośmieli się wystąpić z najmniejszą inicjatywą w tym zakresie. A natomiast, jak postępują?

To, co robią, pozwoliłem sobie nazwać swego czasu na łamach tego pisma mianem „dyktatury produkcji“. Oczywiście, nie wykonuje produkcja dyktatury tej świadomie, z premedytacją, gdyż gdyby świadomość tę miała, to prędko odżegnałaby się od tej dyktatury, wywieranej na całem społeczeństwie, jako godzącej także i w nią samą. Niema tu więc żadnej złej woli, niemniej jednak jest faktycznie dyktatura. A wygląda, w obrazowem przedstawieniu, mniejwięcej w sposób następujący.

Dana fabryka, nadmiernie rozbudowana i nie mająca przeto racji bytu w dzisiejszych warunkach, nie myśląc o dostosowaniu się do nich, chce prowadzić w dalszym ciągu produkcję w dawnych rozmiarach dla rynku wewnętrznego i na eksport. Tymczasem rynek wewnętrzny zubożał, a rynek eksportowy znacznie się skurczył lub wogóle zamknął w danej dziedzinie. Konsumcja więc nie może zadośćuczynić pretensjom i aspiracjom tego przedsiąbiorstwa. Grozi mu zastój, a może i likwidacja.

Wówczas fabryka — czy jakikolwiek inny warsztat produkcji — zwraca się o pomoc finansową do rządu. Rząd ma oczywiście inne kłopoty na głowie i nie uważałby za swe zadanie wspomagać z wpływów podatkowych poszczególne przedsiębiorstwa, a zwłaszcza nieżywotne. Ale fabryka grozi bezrobociem, na co rząd, ze względu na spokój w kraju, nie może pozostawać obojętnym. Udziela więc tej fabryce pomocy kredytowej, a nadto dopłaca do jej eksportu. Skąd bierze na to środki? Oczywiście od podatników, którzy, nie będąc w stanie zakupić sobie towaru z tej fabryki, jak w dawnych, lepszych czasach, muszą jednak

nieproduktywnie dla siebie na podtrzymanie tej fabryki łożyć.

Ale niedość na tem. Cała ta pomoc, ze szkodą społeczeństwa udzielona, nie na długo się przydaje, bo i ona nie jest w stanie zrównoważyć spadku konsumcji i eksportu. Fabryka, w obliczu bankructwa, musi przymusowo się redukować, wyrzucając na bruk setki i tysiące bezrobotnych, których znowu rząd ma utrzymywać. Skąd bierze na to środki? Znowu oczywiście z kieszeni podatników, podwyższając dawne podatki i stwarzając nowe.

Tak więc, za anachroniczne pretensje i aspiracje danego przedsiębiorstwa, które nie chce czy nie umie dostosować się do aktualnych warunków, osłabiony i tak przez kryzys podatnik musi do tej fabryki podwójnie dokładać w formie świadczeń publicznych: na finansowe podtrzymywanie przedsiębiorstwa nieżywotnego i na wspieranie jego nagle rozpuszczonych, bezrobotnych pracowników. W ten sposób wykonuje produkcja faktyczną dyktaturę na rządzie i społeczeństwie, rujnując ich, a w końcu i siebie.

A wszystko to w imię upartej tezy, żeby nie naruszyć w niczem swego „podwórka", nie pomyśleć zawczasu o przyszłości i odpowiednio się nie zreorganizować! Noli me tangere, nawet w razie oczywiście grożącego im bankructwa! — oto kwintesencja dzisiejszej psychiki prywatnych sfer gospodarczych!

Z tym systemem bezkrytycznego egoizmu gospodarczego trzeba raz skończyć, gdyż on to właśnie pogłębia z dniem każdym kryzys w Polsce więcej, niż jakakolwiek inna przyczyna. Jest to w gruncie rzeczy nic innego, jak żądza życia nad stan za wszelką cenę, nawet za cenę własnej egzystencji.

2) Mamy stanowczo zadużo pośrednictwa, jak na polskie stosunki i potrzeby. Mamy zadużo handlu, a raczej handlowania. Zbyt wiele osób zajmuje się u nas „interesami handlowymi". Istotny obrót handlowy, w porównaniu z liczbą handlujących i pośredniczących, jest śmiesznie

niski. Zbyt wielu pośredników wisi na każdym interesie, tworząc bardzo poważną zaporę dla potrzebnego ruchu handlowego i podbijając nieraz ceny w sposób wprost karygodny. Producent dostaje tak mało, że nie jest w stanie utrzymać się przy swoim warsztacie, a konsument musi nieraz płacić nadmierne, niczem nieuzasadnione ceny.

A to wszystko sprawia, że prawdziwy, solidny, na większą skalę prowadzony handel nie może się w Polsce rozwinąć. Jest podcinany w swych podstawach. Zadużo firm, a zamało zysków handlowych, bo zamało — w stosunku do anarchicznej sieci pośrednictwa — potrzeb krajowych i konsumentów.

Rzecz oczywista, że w takich warunkach handel egzystować nie może. Ale proszę tylko spróbować wytłumaczyć poważnym przedstawicielom handlu, że jest go zadużo, że i on wymaga odpowiedniej reorganizacji ilościowej i jakościowej! Handel, nie ustępując ani na krok ze swych pretensji i przestarzałych wymagań, niemożliwych dzisiaj do spełnienia, staje się coraz bardziej celem samym w sobie i zamiast być pomocny społeczeństwu, zamiast być prawdziwie „twórczym", staje się ciężarem. Woli nawet bankructwo w wielu poszczególnych wypadkach, które notabene z dnia na dzień się mnożą, niż wznieść się do poziomu zbawiennej autokrytyki i zwalczyć przedewszystkiem swe własne, wewnętrzne błędy i przeszkody rozwoju.

Fatalnym jest to symptomatem dla każdej gałęzi pracy narodowej, jeżeli, kostniejąc w przestarzałej rutynie, traci zdolność produktywnego rozwoju i staje się dla społeczeństwa ciężarem! A handel nasz, ogółem biorąc, znajduje się właśnie na tej niebezpiecznej drodze, z której może go zawrócić i wyratować właśnie tylko surowa autokrytyka poważnych jego przedstawicieli.

3) Przedewszystkiem jednak musi życie gospodarcze — w tym wypadku rzeczywiście za wszelką cenę — oderwać się od wygodnych torów rządowej pomocy, na

które beznadziejnie zabrnęło, zwłaszcza w kilku ostatnich latach i zacząć sobie samemu radzić. Trzeba koniecznie spojrzeć trochę w przyszłość, choćby niedaleką i zdać sobie sprawę, że taka ustawiczna pomoc i ingerencja rządu (państwa), która chwilowo tu i ówdzie komuś pomaga, wpędza życie gospodarcze w coraz większą zależność i niewolę, w coraz większe zadłużenie, wywołując prawdziwą sklerozę rolnictwa, przemysłu i handlu i lejąc mimowoli wodę na młyn marksowskiej doktryny.

Zresztą zawsze i wszędzie na całym świecie, zarówno w życiu gospodarczem, jak i polityczno-społecznem, ujawnia się ta wielka prawda, że wszelkie twory, zdolne do życia, zdobywają sobie swe prawo bytu przedewszystkiem własną tężyzną i mocą, podczas gdy tworom nieżywotnym żadna pomoc zewnętrzna nie jest w stanie trwale życia przedłużyć. Wprawdzie słyszałem z ust bardzo poważnych przedstawicieli przemysłu i handlu, że nie mogą i nie umieją myśleć o przyszłości, bo każdy dzień bieżący absorbuje ich całkowicie i gotowi są przyjąć każdą pomoc, jaka jest możliwą i jaka się nadarza, poczynając od komisarzy rządowych i przymusowych karteli, a kończąc na obstalunkach sowieckich; a z ust poważnych przedstawicieli większego rolnictwa słyszę coraz częściej, że obecnie gospodarujące pokolenie ziemiańskie jest ostatniem; ale na takie poglądy, defetystyczne, wykazujące wewnętrzną niemoc nietylko danych gałęzi gospodarczych, ale i ludzi, którzy je reprezentują, żadną miarą zgodzić się nie mogę. Dzielny człowiek musi bronić się przed niebezpieczeństwem, bronić się przedewszystkiem sam, drugorzędną tylko wagę przywiązując do jakiejś przygodnej zewnętrznej pomocy. A jeżeli tego nie umie, jeżeli sam małodusznie swą niemoc wyznaje, to istotnie może zginąć, ale nietyle przez przemoc trudności zewnętrznych, ile przedewszystkiem przez własną nicość indywidualną i fachowo-zawodową. Jak w 1920 r. okazało się, że mimo pewnej, bardzo zresztą szczupłej zewnętrznej pomocy materjalnej i moralnej, musiała Polska

jednak sama wytężyć się na odparcie bolszewików, tak i obecnie polskie życie gospodarcze powinno przedewszystkiem samo pomyśleć o sobie, samo się ratować i to zapomocą: 1) objektywnego rachunku sumienia, 2) odpowiedniej redukcji, reorganizacji i konsekwentnego dostosowania się do dzisiejszych warunków podaży i popytu, 3) stanowczego zerwania z małodusznem, krótkowzrocznem i samobójczem zwracaniem się o pomoc rządu, choćby ta zmiana prywatnej polityki gospodarczej była z początku niewygodną i trochę kosztowała. Lepiej wszystko, niż popaść coraz bardziej w ustrój socjalistyczny!

A ingerencja państwa powinna stanowczo ograniczyć się tylko do odpowiedniej polityki celnej, ustalania w najogólniejszych zarysach pewnych norm porządku gospodarczego, oraz możliwie daleko idącego usuwania przeszkód i ciężarów, utrudniających rozwój przedsiębiorczości i kapitalizacji prywatnej.

Na objekcje zaś, wysuwane przeciw powyższemu postulatowi samopomocy sfer gospodarczych, że mianowicie walka o chleb codzienny „uniemożliwia" myślenie o takiej samopomocy i jej konsekwentnem zrealizowaniu, pozwalam sobie wręcz odpowiedzieć, że właśnie ta wyłączna walka jedynie tylko o chleb codzienny — t. j. o dorywcze interesa poszczególnych przedsiębiorców — staje się, ogółem biorąc, coraz bardziej beznadziejną i ona to właśnie pogłębia coraz więcej kryzys przez swój brak myśli o jutrze lub wprost niechęć do niej.

Życie gospodarcze, chcąc oprzeć się zwycięsko naporowi kryzysu, musi iść obecnie drogą dwutorową: z jednej strony, dopóki silniejsze podstawy nie zostaną stworzone, niech walczy w dalszym ciągu o chleb codzienny zapomocą doraźnych środków, będących do dyspozycji; z drugiej jednak, niech buduje sobie stopniowo a konsekwentnie owe silniejsze, racjonalniejsze podstawy na bliższą i dalszą przyszłość, właśnie przez rozsądną autokrytykę, odpowiednią

reorganizację i szeroki udział w życiu publicznem, nawet w sprawach nie gospodarczych.

Jest to niezbędna taktyka programowa, której konieczność zilustrować można obrazowo na przykładzie kolonisty-pioniera, zakładającego swą siedzibę w jakiejś ogzotycznej puszczy. Co robi taki pionier? Pracuje dwutorowo: stawia sobie tymczasowy szałas, karczuje las i zakłada najprymitywniejsze gospodarstwo, aby móc wyżyć i zwalczyć początkowe trudności, ale równocześnie rozpoczyna stopniową budowę solidnego domu i folwarku, do którego wprowadzi się za rok lub lat kilka.

Tak, a nie inaczej, musi zorganizować się zarówno myśl, jak i praca gospodarcza w Polsce. Ale właśnie największy, praktyczny, codzienny szkopuł leży w tem, że przedstawiciele jakichkolwiek sfer gospodarczych nie lubią mówić o stopniowej rozbudowie owego solidniejszego domu i folwarku, ale — pchani jakimś fatalizmem czy psychozą — rozpraszają się wyłącznie w tysiącznych, codziennych szczegółach. Te szczegóły, zmienne z dnia na dzień, jak wiatr, nazywają realnymi, a wszelaką planową myśl o jutrze nierealną. I w tem leży całe ich nieszczęście i niezdolność do skutecznej walki z kryzysem.

Zginął gdzieś ów dawny, legendarny ołówek kupiecki. Zastąpiła go kredka, którą kreśli się z dnia na dzień pewne znaki, pewne aspekta, aby je nazajutrz wymazać. Otóż skuteczny start w walce z kryzysem może nastąpić dopiero, gdy odnajdzie się ów legendarny ołówek, stawiający trwałe znaki na przyszłość. Musimy go znaleźć, jeżeli wogóle z miejsca ruszyć chcemy, ale znajdziemy go tylko po uderzeniu się w piersi i zastosowaniu metody trzeźwej, szczerej autokrytyki.

Pozostaje jeszcze jedna kwestja, pierwszorzędna: sprawa bezrobocia. Rozwiązać ją trzeba w samych jej podstawach, gdyż natknie się na nią każdy, kto przystąpi do regeneracji życia gospodarczego.

Otóż sprawa ta mylnie jest przez ogół pojmowana, jako rezultat kryzysu. Ten bowiem tylko częściowo zaostrza bezrobocie, ale bynajmniej o niem nie decyduje. Bezrobocie, ogółem biorąc, jest naturalnym skutkiem przerostu maszyny ponad możliwość światowej konsumcji i wzmagać się będzie w miarę doskonalenia się maszyny, wzrostu ilości wynalazków i wzrostu ludności. Stąd też systemem wspomagania bezrobotnych, w oczekiwaniu jakiegoś lepszego jutra, nigdy załatwić się nie da.

Uda się je może nieco złagodzić przez dostosowanie się życia gospodarczego — i państwowego wogóle — do nowych warunków bytu, skoro bezrobocie jest częściowo także wynikiem przedłużania się nieracjonalnej, anachronicznej, bezplanowej gospodarki. Ale właściwe rozwiązanie problemu bezrobocia leży na innej platformie, przekraczającej ramy niniejszych uwag.

Zajmie się i tym problemem „Nasza Przyszłość" specjalnie w swoim czasie.

Jan Bobrzyński.